DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr Ind. 362514

kamena

NR 15 (913) 24 lipca 1988 Cena 35 zł

Korespondencja własna

Spotkania z Michaiłem Gorbaczowem

Wiesław Horabik

JERZY Urban na konferencji prasowej poprzedzającej wizytę Michaiła Gorbaczowa w Polsce, nawiązując do XIX Konferencji KPZR, powiedział: „Na warszawskim lotnisku wyląduje Michaił Gorbaczow wzmocniony w stosunku do tego sekretarza generalnego, któregośmy zapraszali, a przy tym otoczony jeszcze większą sympatią Polaków".

Kilkanaście polskich miast zgłosiło gotowość goszczenia sekretarza generalnego KC KPZR. Potrzebowałby on co najmniej miesiąca, by zaspokoić te życzenia. Wybrano więc Warszawę, Kraków i Szczecin. Dobrą odpowiedzią na dywagacje zachodnich dziennikarzy odnośnie odwiedzin w Szczecinie mogłaby być, jak sądzę, wypowiedź Jana Kwieka, frezera ze Stoczni im. Warskiego. „To dobrze — powiedział mi — że Michaił Gorbaczow przyjeżdża do nas. To dobrze, że kolejny przywódca Związku Radzieckiego odwiedza nasze miasto. Przybyłem tu w 1945 roku, by odbudowywać polskość. Dla nas to wielka sprawa".

Miejsce w polskim sercu

Wizyta Michaiła Gorbaczowa wprowadziła dynamikę w powolne życie wyludnionej, lipcowej stolicy. Grupy wycieczkowe i kolonijne zmieniały trasy swoich tradycyjnych wypraw. Jak przystało na odwiedziny niekonwencjonalnego człowieka, wszystko zaczęło się nietypowo. Samolot wylądował nieco wcześniej niż to zakładano, co wprowadziło w zakłopotanie sprawozdawców radiowych i telewizyjnych, a potem już co chwila burzył się przyjęty zawczasu protokół. Jasnym było, że Michaił Gorbaczow nie zrezygnuje z bezpośrednich spotkań z warszawiakami. „Jestem tu zaledwie chwilę, a już czuję tę waszą ogromną serdeczność, widzę ją w waszych oczach" — zwierzał się pod Pomnikiem Lotników. W jego stronę wyciągały się ręce ze świeżo wydrukowanym, czwartym już wydaniem „Przebudowy". Kilku młodych ludzi skorzystało z protekcji Raisy Maksimowny. Odeszli z bezcennym autografem.

Tym razem na trasie zabrakło dętych haseł. Zastąpiły je proste: „Serdecznie witamy" i niekonwencjonalne: „Pieriestrojka — to jest to". Zrezygnowano także z ceremonialnych wystąpień na lotnisku. Obaj przywódcy wygłosili ważne przemówienia w Sejmie. Wszędzie — przed Grobem Nieznanego Żołnierza, pod pomnikiem Nike, na Cmentarzu-Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich — dochodziło do otwartych, bezpośrednich kontaktów z ludźmi.

„Co przekazałem po pierwszym dniu wizyty? Przede wszystkim brak jej formalnego charakteru — powiedział korespondent „Nowosti", Walery Mastierow. — Jest ona w każdym momencie uroczysta, ale przecież bezpośrednia, szczera, podobna do atmosfery, jaka dziś zaczyna panować w naszych wzajemnych stosunkach".

Tradycją zagranicznych podróży Michaiła Gorbaczowa stało się już deklarowanie ważnych inicjatyw rozbrojeniowych. Podobnie było i w polskim parlamencie. Na jego forum padła propozycja wycofania części radzieckiego lotnictwa z krajów Europy Wschodniej w przypadku rezygnacji przez Pakt Północnoatlantycki z przemieszczenia amerykańskich samolotów F-16 z Hiszpanii do Włoch. Zaproponowano także ogólnoeuropejskie spotkanie. „Gorbaczow wezwał do europejskiego szczytu" — wołał nazajutrz londyński „Guardian".

Wojciech Jaruzelski wygłosił zdaniem korespondentów zachodnich, jedno ze swych najlepszych przemówień: pełne patriotyzmu, rozliczeń z przeszłością i nieodmiennej woli kontynuowania linii porozumienia narodowego. „Chodzi o to — mówił — aby (obrazowo rzecz ujmując) skupić w soczewce patriotycznego działania wszystkie rozproszone promienie społecznej energii. Pragniemy, aby zarysowująca się, proreformatorska koalicja odpowiedzialnych, patriotycznych sił narodu dobrze służyła przyszłości naszej Ojczyzny".

Humanizacja stosunków międzynarodowych, tak szeroko głoszona przez Moskwę, objawiła się w Warszawie bezpośrednio, poprzez żywy kontakt Polaków z jedną z najwybitniejszych postaci politycznych XX wieku. „Dostrzegam w nim — powiedział niedawno o Gorbaczowie Armand Hammer — te same cechy, które widziałem u Lenina".

Podróż do polskich sentymentów

Po raz pierwszy w historii przywódca Związku Radzieckiego odwiedził podwawelski gród. Ale przedtem udał się do Białego Dunajca i Poronina. Michaił Gorbaczow w swojej książce „Przebudowa i nowe myślenie" pisał: „Praca W. I. Lenina, leninowski ideał socjalizmu były dla nas zawsze niewyczerpanym źródłem dialektycznej myśli twórczej, bagactwa teorii i dalekowzroczności politycznej, a jego postać — nieprzemijającym wzorem wielkiej siły moralnej, uniwersalnej kultury duchowej, bezgranicznej wierności sprawie narodu i socjalizmu".

Wysokie postacie żołnierskie w podhalańskich pelerynach, nieruchome flagi na masztach, drżący płomień znicza i kolorowe stroje mieszkańców Podhala odbijają się w gładkiej wodzie szerokiego

Dokończenie na str. 5

Ciągle szachujemy się z naturą

Rozmowa z profesorem Jerzym Michalakiem

— Jest pan profesorem, kierownikiem kliniki, prorektorem lubelskiej Akademii Medycznej, autorem 112 publikacji naukowych, przewodniczącym oddziału Towarzystwa Chirurgów Polskich. Pozostając z szacunkiem dla tych prestiżowych tytułów i funkcji, przecież nie darowanych przez los, ośmielam się wszakże zauważyć, że dla ludzi spoza „branży" jest pan przede wszystkim znanym, budzącym zaufanie lekarzem, od wielu już lat zajmującym się chirurgią naczyń, a więc czymś, co wymaga niebywałej precyzji i sprawności dłoni. Proszę pokazać rękę: no nie, to nie wygląda na narzędzie robót delikatnych, to jest dłoń jakoś proporcjonalna do postury człowieka, który mierzy sobie, tak na oko, ze 180 cm wzrostu i waży ponad 95 kg!

— No dobrze, niech będzie na wesoło: pewność i sprawność dłoni chirurga nie zależą od ich wielkości i kształtu.

— Ale profesor Wilczur miał dłonie jak pianista!

— Nie żaden profesor, ale aktor, który w tym filmie udawał chirurga.

— Kierowana przez pana, od 1980 roku, Klinika Chirurgii Naczyń zajmuje się głównie, jeśli chodzi o praktykę, leczeniem miażdżycy...

— Miażdżyca to choroba nieodwracalna, narastająca z wiekiem. My leczymy miejscowe skutki miażdżycy: usuwamy niedrożność tętnic lub zastępujemy ich zniszczone odcinki protezami, operujemy tętniaki i rekonstruujemy uszkodzone tętnice, ponadto...

— Przepraszam, a co to jest „tętniak"?

— To jedna z postaci zmian miażdżycowych, polegająca na workowatym rozszerzeniu tętnicy, najczęściej w aorcie brzusznej. Skutki pęknięcia takiego tętniaka są bardzo groźne dla życia chorego.

— A jak można stwierdzić pojawienie się tętniaka w owym miejscu? Przy pomocy ultrasonografu czy tomografu komputerowego?

— Tak, ale doświadczonemu chirurgowi wystarczy pomacać brzuch pacjenta, by wyczuć ten pulsujący guz i postawić trafną diagnozę.

— Chirurgia jako sztuka stosowana... Czy kiedyś tam, we wczesnej młodości, miał pan aspiracje artystyczne i siedząc na przyzbie, rzezał drewniane ptaszki lub owieczki?

— Dlaczego „na przyzbie"?!

— To tak z nawyku, albowiem wszyscy profesorowie, lekarze prawnicy czy filozofowie, z którymi dotąd rozmawiałem za sprawą „Kameny" i ich dobrej woli, chwalili się chłopskim rodowodem.

— Muszę pana zmartwić: urodziłem się w Brześciu nad Bugiem 1932 roku, a ojciec mój był oficerem. Mieszkaliśmy tam w całkiem nowoczesnym, jak na owe czasy, bloku osiedla wojskowego, wzniesionego na ładnym, zadrzewionym terenie między miastem a twierdzą. Wyjechaliśmy stamtąd w 39; ojciec poszedł na front, ostatnią bitwę, w armii generała Kleeberga, stoczył pod Kockiem, gdzie dostał się do niewoli, by wkrótce znaleźć się w obozie jenieckim w Radomiu, skąd jednak udało mu się uciec. Lata okupacji niemieckiej cała nasza rodzina spędziła w Stężycy na Lubelszczyźnie. W roku 1944 ojciec znów ubrał mundur oficera.

— Czy jako człowiek dorosły nie odczuwał pan potrzeby „sprawdzenia", co też takiego dzieje się dzisiejszym Brześciu, jak wygląda dom rodzinny?

— Naturalnie, ciągnęło mnie w nadbużańskie strony. Na początku lat siedemdziesiątych, kiedy akurat miałem wracać służbowo z Moskwy do kraju, postanowiłem zobaczyć miasto choćby z okien wagonu kolejowego, no i w tym celu, posłużywszy się drobnym fortelem medycznym, zamieniłem posiadany już bilet lotniczy na sypialny. Lopotraktował mnie jednak ironicznie: po zatrzymaniu się pociągu na dworcu brzeskim stwierdziłem tylko tyle, że takiej mgły, jaka właśnie dokładnie zamaskowała miasto, nigdy dotąd nie widziałem! Ale w końcu dopiąłem swego, bodaj trzy lata później — bezbłędnie trafiając do wiadomego osiedla, a nawet do klatki schodowej domu, w którym się urodziłem. Zapukałem do drzwi mieszkania; otworzyła mi jakaś babcia z wianuszkiem wnucząt, więc powiedziałem, o co chodzi, stanąłem na progu, rzuciłem okiem w głąb i nagle poczułem, że nostalgia moja została oto raz na zawsze zaspokojona. Już nigdy potem nie ciągnęło mnie do Brześcia.

— Wczesna młodość upłynęła panu w sferze militarnej, pod okiem oficera, więc może miał pan ochotę pójść jego śladem?

— Jednostka, w której ojciec służył po wojnie, często zmieniała miejsca pobytu, kolejno stacjonując na przykład w Chełmie, Hrubieszowie i Zamościu, więc ciągle mieszkaliśmy na terenie koszar. Trudno jednak powiedzieć,

Dokończenie na str. 8—9

Czytajcie Manifest PKWN

JAK wiadomo, Manifest PKWN, pierwszy akt programowy Polski Ludowej, ogłoszono w lipcu 1944 roku, czyli 44 lata temu. Osoby postrzegające sens głębszy w stosunkach liczbowych mogłyby więc dojść do ciekawego wniosku, że tej całej historycznej sprawie patronuje mickiewiczowskie „44". Inaczej mówiąc: naczelny redaktor paryskiej „Trybuny Ludów", zorientowanej wszak socjalistycznie, przewidział był rok 1944 jako przełomowy w dziejach narodu.

Należy się jednak obawiać, że ta efektowna egzegeza relacji: 1944 — 44 — „44" wzbudziłaby emocje jedynie wśród satyryków. W ciągu minionych dziesięcioleci Manifest został bowiem tak dokładnie przemaglowany w okolicznościowej celebrze, że w polskiej wyobraźni zbiorowej, szczególnie młodego pokolenia, nazbyt często jawi się on tylko pod postacią pergaminu ze stemplem archiwalnej ważności.

I cóż tu liczyć na pomoc prorocczego ducha poety, choćby imię jego było czterdzieści i cztery?!

W tej swoistej mumifikacji dokumentu brali też udział ludzie dysponujący zdolnością realnej oceny faktów i procesów historycznych. Jeden z nich oznajmił w 1974 roku, że „postulaty sformułowane w Manifeście Lipcowym zostały całkowicie zrealizowane w niezwykle krótkim czasie, w ciągu kilku lat [...]".

W takim ujęciu Manifest przedstawia się jako dziadzio emeryt — zacny, szanowany, ale przecież już tylko emeryt, atrakcyjny dla otoczenia głównie wtedy, kiedy potrafi — panie dzieju — dorzucić jakiś pikantny szczegół do swojej kanonicznej biografii.

Co robić? — pytamy w przekonaniu, że chodzi nie o byle co, lecz o jeden z najważniejszych dokumentów w dziejach naszego kraju, o nić zakorzeniony w postępowych tradycjach naszej myśli społecznej. Wbrew potocznej opinii, uznającej Manifest za wyłączne dzieło radykalnej lewicy, zbudowany on został również na ideach wielu pokoleń polskich demokratów, aktualne potrzeby polityczne mądrze lokował w szerokiej perspektywie nowego państwa, którego takie np. zarysy jak granice zachodnie, także były przedmiotem namysłu w przeszłości.

Co zatem robić? Niewiele, przynajmniej na początek: dokładnie i osobiście przeczytać Manifest PKWN. I wtedy dojdzie się do wniosku, że jest to dokument ciągle żywy, a w sferze pojedynczych postulatów zdumiewająco aktualny. W świątecznym rozkładzie dnia 22 Lipca, znajdźcie więc, drodzy rodacy, trochę czasu na lekturę Manifestu, zwracając choćby uwagę na taki jego fragment:

„Przez 400 lat między Polakami i Ukraińcami, Polakami i Białorusinami, Polakami i Rosjanami trwał okres nieustannych konfliktów ze szkodą dla obydwu stron. Teraz nastąpił w tych stosunkach historyczny zwrot. Konflikty ustępują przyjaźni i współpracy, dyktowanej przez obopólne życiowe interesy. Przyjaźń i bojowa współpraca, zapoczątkowana przez braterstwo broni Wojska Polskiego z Armią Czerwoną, winny przekształcić się w trwały sojusz i sąsiedzkie współdziałanie po wojnie. [...] Granica wschodnia powinna być linią przyjaznego sąsiedztwa, a nie przegrodą między nami a sąsiadami [...]". **K.**

Profesor

„Na początku lat pięćdziesiątych (byłem wówczas studentem warszawskiej polonistyki) natrafiłem na numer pisma »Kamena«, a w nim na niezwykle ciekawy artykuł »Uwagi o liryce Mickiewicza«. [...] Nazwisko autora: Czesław Zgorzelski nic mi nie mówiło, dopiero potem dowiedziałem się, że jest to profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, autor podstawowej monografii »Duma poprzedniczka ballady« (1949) oraz studiów o poezji romantycznej" — tak rozpoczął Michał Głowiński („Tygodnik Powszechny" nr 27) esej poświęcony 80-leciu profesora Czesława Zgorzelskiego, jednego z najwybitniejszych historyków literatury polskiej, miłośnika Wilna i rodzinnej swej Nowogródczyzny, admiratora Marszałka.

Byłem studentem Profesora w latach sześćdziesiątych i zrobiłem magisterium u Niego. Wymagał pracy i sumienności. Uczył pokory — cnoty najtrudniejszej. Mnie tolerował, choć bywałem nieznośny. A nawet ośmielam się powiedzieć, że darzył mnie życzliwością, która jest bezcenna. Dziś wiem, że nie potrafiłem temu sprostać. Ale wiem też, że to jedyny człowiek, którego w pełni, bez zastrzeżeń szanuję. Za ogromną wiedzę i umiejętność jej przekazania, prawość i akuratność, wysokie wymagania stawiane sobie i innym, skromność i mądrą życzliwość — cechy unikalne w morzu prostactwa i głupoty, które nas zalewa, i w społeczeństwie, które raduje się, że zezowata miernota brazylijska powróciła na ekrany telewizorów.

100 lat, Panie Profesorze!

Maciej Podgórski

KRONIKA KULTURALNA

• Od 8 lipca w Galerii Sztuki Ludowej na lubelskim Starym Mieście czynna jest wystawa „Z mazowieckiej niwy", prezentująca rzeźbę, plastykę obrzędową i zdobnictwo, haft, kowalstwo, plecionkarstwo — wszystko do kupienia. Zwracamy uwagę na szatańskie figurki, autorstwa Zbigniewa Szczepańskiego (ur. 1944) z Kutna. Zgrabnie wyrzeźbione diabelstwo tryska witalnością, lubi muzykę i kobiety. Natomiast w muszli koncertowej Ogrodu Saskiego odbywają się IV Lubelskie Spotkania Folklorystyczne (17—24 bm.), czyli tańce i śpiewy zespołów ludowych czy odpowiednio stylizowanych — miejscowych i zagranicznych.

• Powiększa się inwentarz wideoteki okręgowej przy ul. Narutowicza 83, gdzie obecnie można przebierać (za opłatą) w 180 filmach. Przy końcu roku liczba takich wesołych, krwawych, sentymentalnych i całkiem poważnych obrazków elektronicznych wzrośnie do 300. Przy okazji przypominamy, że magnetowid „panasonic" kosztuje w „Pewexie" 500 dolarów, a jak się zepsuje — zdarza się — to na naprawę trzeba trochę poczekać, co nasi handlowcy uważają za normalne, a producenci wprost przeciwnie.

• W Kanadzie występuje Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej. Dwutygodniowy program pobytu obejmuje m.in. udział w międzynarodowym festiwalu folklorystycznym w Montrealu. Tymczasem do tournée w Wielkiej Brytanii przygotowuje się Lubelskie Studio Teatralne „Grupa Chwilowa", która dotrze na Wyspy 1 sierpnia.

• „Portret dziecka w malarstwie współczesnym" to tytuł wystawy ze zbiorów zamojskiego BWA, która czynna była w Ośrodku Informacji i Kultury Polskiej w Berlinie. 28 autorów, w tym: wybitni, popularni, choćby rzetelni. Z malarstwem, plakatem i ilustracją o takiej tematyce zamojska instytucja podróżuje po całej Europie, była nawet w Egipcie, będzie w Chinach.

• Kończą się przygotowania do otwarcia w Lublinie (przy al. PKWN 8) księgarni Państwowego Instytutu Wydawniczego, trzeciej z kolei „firmowej" placówki tego rodzaju w mieście, po PAN-owskiej i „Ossolineum", o czym donosimy z zadowoleniem.

• Złożyli właśnie sztalugi uczestnicy ogólnopolskiego pleneru malarskiego w Janowie Podlaskim, zainteresowani pejzażem, głównie zaś koniem. Wystawę poplenerową otwarto oczywiście w stadninie (20 bm.). Może warto przy tym wspomnieć, że żywe konie robocze idą w cenie, nie bacząc na prognozy sprzed kilku lat, które spychały te dzielne zwierzęta na margines tzw. reliktów. O wielorakiej sile konia świadczy też inna ekspozycja, którą pod tytułem „Tradycja ułańska" otwarto (6 bm.) w Muzeum Regionalnym w Kraśniku.

• W lubelskiej Małej Galerii Grafiki znów dobra wystawa (od 7 bm.): litografii Piotra Lecha, adiunkta w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS. Podobnie w zamojskim BWA, gdzie od 6 lipca można oglądać malarstwo i grafikę Jana Tarasina z Warszawy.

• Kultura nocą: prasa lubelska z przejęciem informuje, że w restauracji hotelu „Victoria" można wreszcie swawolić do rana, zakąszając striptizem blond or black. Zobaczcie zresztą sami, albowiem słowa tylko uczą, natomiast exempla trahunt.

Brytyjski psycholog Norman Dixon ogłosił teorię o zależności losów narodów i świata od ludzi stojących na czele państw i armii, bardzo często nie nadających się do tych zadań. Wskutek stanów psychopatycznych są oni gotowi podejmować ostateczne decyzje w najmniej odpowiednich chwilach. O teorii tej rozmawia z Dixonem Giuliano Ferrieri w tygodniku EUROPEO. Tekst nieznacznie skrócony.

ŻYJEMY w czasie pożyczonym. To oczywiste w stosunku do jednostek, ponieważ nikt nie jest nieśmiertelny, ale teraz to się również odnosi do całego rodzaju ludzkiego, zważywszy, że — po raz pierwszy — człowiek dysponuje środkami mogącymi nie tylko zdziesiątkować nieprzyjaciół, ale unicestwić całe życie na planecie Ziemi. A przecież wiadomo, że kiedy jakiś błąd jest możliwy, prędzej czy później nieuchronnie się wydarzy; przyjrzyjmy się katastrofom samolotowymi, skażeniu ropą naftową przez tonące statki-cysterny, Czarnobylowi i tak dalej.

Pogarszają sytuację dwa elementy. Pierwszy, że — jak pisze profesor Dixon — o losach świata decyduje nieraz „garstka polityków, którym — oceniając w kategoriach osobowości ich motywy, ambicje, ekshibicjonizm, nieszczerość, makiawelizm, skuteczność umysłową, stresy, paranoje, a w końcu zwyczajną głupotę — nie powierzylibyśmy nawet zadania zrobienia tygodniowych zakupów w supermarkecie (wiem dobrze, że w historii bywają także prawdziwi mężowie stanu, którzy reprezentują przeciwieństwo polityków, ale tu moje rozważania są statystyczne)". Drugi element stanowi pod pewnymi względami ukoronowanie pierwszego. Przeznaczenie człowieka jest konkretnie ustalone nie — jak zwykliśmy wierzyć — przez rządy i ideologie panujące nad światem, „ale przez psychopatologię nielicznych jednostek, wąskiej grupy tych, którzy rządzą".

Wystarczy tego, aby wsiąść w samolot do Anglii i prosić profesora Dixona o spotkanie.

Przyjmuje mnie jednoręki człowiek (stracił rękę, kiedy jako inżynier wojskowy pracował przy zbieraniu niewypałów. „Ja też — mówi — miałem pewną dozę niekompetencji"), ale żywotny, z poczuciem humoru, inteligentny. Zachował niezmienioną odwagę, jak w czasach, kiedy pracował na zaminowanych polach.

Mogłoby się wydawać, że rozumowanie Dixona jest pamfletem przeciw politykom w ogóle, może zabarwionym pacyfizmem i osłabionym stronniczym stanowiskiem. Przeciwnie. Dixon nie uprawia polityki, nie jest pacyfistą, szanuje wybranych i wyborców (w skład których wchodzi). Przedstawia jedynie fakty i mechanizmy w terminach nauk psychologicznych, w których jest wybitny. A fakty i mechanizmy w sposób mniej lub bardziej zawiniony doprowadziły ludzkość na skraj katastrofy jądrowej.

Stajemy się jak lemingi, małe gryzonie, które w zmiennych okresach, jakby na dźwięk fujarki nie istniejącego grajka-zaklinacza, idą nieodparcie naprzód i topią się w morzu. Tylko, że lemingi za pomocą tego procesu ograniczają w fazach przeludnienia własną liczbę. Zważają jednak, aby nie narazić na wyginięcie całej rasy. Pozwólmy, aby sam Norman Dixon to wyjaśnił:

— W naturze często powstają mechanizmy obronne, a zatem pożyteczne, które później okazują się zbędne lub wręcz szkodliwe. Natura jednak niechętnie je likwiduje. Już w latach pięćdziesiątych etolog Nicolas Tinberg sygnalizował, że kulturalna ewolucja ludzka w niespełna jedno stulecie wprowadziła zmiany o takim znaczeniu, iż obecnie jest nieadekwatny system biologiczny, w jaki stopniowo przez miliony lat wyposażyła człowieka ewolucja genetyczna.

— Przykłady, profesorze?

— Mam na myśli takie zjawiska, jak zdolność reagowania na stresy, zdolność (podobno wyłącznie ludzka) nudzenia się, agresywność, współdziałanie społeczne. Każde z tych narzędzi było istotnym elementem przetrwania i wzrostu rodzaju ludzkiego. A dziś każde z nich działa tak, że staje się wysoce prawdopodobne na dłuższą metę wygaśnięcie naszego rodzaju. Stało się to w związku z sumą: „człowiek plus technika". Ta suma istnieje od tysiącleci, to oczywiste, ale przedtem miała skutki drugorzędne i częściowe. Natomiast od chwili odkrycia jądra atomowego technika może w rezultacie doprowadzić do unicestwienia planety.

— Czy to kolejne oskarżenie szkód wynikających z postępu technicznego?

— Wcale nie. Obowiązuje zawsze zasada, że powinien nas niepokoić nie wzrost techniki, ale sposób jej używania. Upadł przecież mit, że technika może nam zapewnić bezpieczeństwo. Coraz nowocześniejsze samoloty nadal spadają, pociągi się zderzają, statki toną, budynki się walą. Nie z winy techniki, ale postawy, jaką się posługujemy. Jeden pociąg najeżdża na drugi dlatego, że konduktor blokuje pedał zwany „martwym", aby nie trzymać na nim ciągle nogi; prom się wywraca, bo nikt nie zważał na sygnał „otwarte drzwi"; liniowy odrzutowiec spada, bo linia lotnicza wolała oszczędzać, wydłużając okresy dzielące periodyczną kontrolę. Możliwość, że wojna jądrowa wybuchnie „przez omyłkę", to znaczy wskutek błędu ludzkiego lub mechanicznego, jest praktycznie równa możliwości, że jakiś przywódca polityczny świadomie ją rozpęta.

— Dopiero teraz technika umożliwia najgorsze. Teza pana brzmi zatem, że zbliżające się całopalenie zostanie ostatecznie postanowione przez człowieka, nie przez mechaniczny automatyzm, i że stanie się to wskutek „niekometencji", zwłaszcza wojskowych i polityków, którzy są podobno niekompetentni właśnie w odniesieniu do swoich zadań. Czy tak, profesorze Dixon?

— Właśnie tak. Ten porządek rozważania pociągał mnie najpierw w odniesieniu do wojskowych. Z przyczyn zawodowych czytałem historie wielkich generałów z przeszłości i współczesnych. Uderzył mnie fakt, że w każdej z nich znajdowała się kronika katastrofalnych klęsk: przegrywającego, co jest oczywiste, ale także — prawie nieuchronnie — zwycięzcy. A każda klęska miała określone przyczyny, rygorystyczne jak równanie, prawie zawsze już przedtem dostrzegalne.

Wiele danych o wielkich przywódcach wojskowych pozwala wykluczyć, że ich błędy wynikały ze zwyczajnej głupoty. Zastanawiłem się, jak mogły osoby na ogół wyposażone w przyzwoitą inteligencję podejmować samobójcze decyzje (jeżeli nie dla siebie, to na pewno dla żołnierzy i dla kraju, któremu lojalnie służyły). Myślę, cytując w sposób nieuporządkowany, o amerykańskim nieprzygotowaniu w Pearl Harbor; o prowadzeniu przez Anglików wojny krymskiej (określonej przez brytyjskich historyków samokrytycznie jako „najgorzej dowodzona kampania wojskowa, odkąd istnieje wojsko"); o błędach Napoleona pod Waterloo; o samobójczym trwaniu Niemców pod Stalingradem; o półtora miliona zmarłych, których — jakby działali w porozumieniu — Niemiec Von Falkenhayn i Francuz Joffre poświęcili bez jakiegokolwiek celu pod Verdun; o klęskach, jakże dotkliwych, wojsk angielskich, najpierw w wojnie z Burami, później pod Tobrukiem i w Singapurze; o absurdalności anglo-amerykańskiej próby odzyskania w 1944 mostu w Arnhem (17 tysięcy poległych w ciągu kilku godzin wskutek błędu taktycznego) i tak dalej.

— Czy badając w sposób naukowy te wszystkie katastrofy, wyodrębnił pan jeden lub więcej wspólnych mianowników?

— Myślę, że tak. Jednym z nich jest z pewnością psychopatyczna dewiacja startu młodych ludzi, wybierających karierę wojskową, przeznaczoną dla silnych i odważnych. Tymczasem podejmują ją prawie zawsze ludzie, którzy mieli nieszczęśliwe dzieciństwo, nieobecnego ojca, apodyktyczną matkę (Hitler, jak wiadomo, jest podręcznikowym przypadkiem: tyranizująca mamusia, nie istniejący tatuś, ponadto potrzeba ukrycia żydowskich przodków, których się absurdalnie wstydził). Dzieci w takich sytuacjach życiowych stają się dorosłymi o słabej osobowości, podważanej kompleksami i lękami. I właśnie organizacja wojskowa stwarza niezwykle przychylne środowisko dla tych, którym brak wewnętrznej kontroli, oferując jedyną wręcz kombinację: absolutnego bezpieczeństwa i władzy nad podwładnymi, czyli zastępczy obraz ojcowski (wojsko, szef od którego są uzależnieni), ujście dla agresywnych napięć, zawsze jednak społecznie aprobowanych.

— Jeżeli pańskie tezy są prawdziwe, mogą też dotyczyć podwładnych, a nie wielkich dowódców wojskowych, którzy podejmują decyzje osobiście.

— A skąd się wywodzą ci wielcy dowódcy? Prawie zawsze w przeszłości (sądzę też, że także dziś) z hierarchii

Szaleńcza władza
(Na przykładach zachodnich)

wskutek wewnętrznej selekcji wśród podwładnych. A wybiera ich machina zawsze doskonała w tworzeniu ślepej wiary i posłuszeństwa (wraz z przychylnością dla osobników z cechami autokratycznymi), i przez to samo nieskuteczna w tworzeniu osobników wyposażonych w prawdziwe zdolności dowodzenia; to znaczy osobników mających rzeczywisty kontakt ze „swoimi" ludźmi, nonkonformistów, twórczych, gotowych zmienić schemat, kiedy się okaże błędny lub niedopasowany, i bogatych w odwagę moralną (ta ostatnia prawie nigdy nie ma bezpośredniego związku z odwagą fizyczną). Proszę uwzględnić, że w wojsku i w demokracji nie ma takiego dowódcy, który by nie miał zmierzchników. Każdy ma, a na górze wojskowej „numer jeden" przyjmuje — słusznie — rozkazy od swojego rządu.

— Od rządu, to znaczy od polityków, do których właśnie dochodzimy. A politycy nie wybrali swojego zawodu wskutek dziecięcych frustracji czy braku chęci wybicia się, zamiłowania do decydowania, uczulenia na opinię „podwładnych" (powiedzmy: wyborców). Są kompetentni, a ich ewentualne wady nie wydają się spokrewnione z „niekompetencjami" wymienionymi w odniesieniu do wojskowych.

— Istotnie, ich niekompetencje mają częściowo inny charakter. Jednak tylko częściowo. Na początek polityków na szczycie łączy z wojskowymi nieszczęśliwe dzieciństwo. Proszę przejrzeć pracę Lucille Iremonger z biografiami 24 premierów, którzy wymieniali się przy Downing Street w okresie ostatnich dwóch stuleci, od Spencera Percevala w 1809 do dziś. 16 spośród nich straciło jedno lub obydwoje rodziców w dzieciństwie (w jednym przypadku przyszły premier w ogóle ich nie znał, był prawdopodobnie dzieckiem z cudzołożnego związku, porzuconym po urodzeniu). 16 na 24 to znaczy 66 i więcej procent. Proszę uwzględnić, że przeciętnie wśród populacji tylko 2 procent osób jest osieroconych przez jedno lub dwoje rodziców.

— Czy sieroctwo miałoby być przywilejem w chwili startu dla przyszłego premiera Zjednoczonego Królestwa?

— Tego nie mówię. Podkreślam tylko jako znamienny fakt, że dwie trzecie polityków, którzy stali na czele wielkiego narodu (byłoby celowe przeprowadzić w innych krajach analogiczne badania), okazało się nosicielami „kompleksu Faetona",

— To znaczy, profesorze?

— Faeton, syn Febusa, boga słońca, jest wspomniany jedynie w epizodzie, kiedy chciał prowadzić ognisty wóz ojca. Niedoświadczony, zbliżył się za blisko Ziemi, a Zeus, bóg bogów, aby uniknąć jej spłonięcia, raził Faetona piorunem, wskutek czego ten spadł do Padu. Wydarzenie mityczne jest faktycznie bardziej złożone. Dlaczego Febus pozwolił synowi kierować wozem Słońca? Bo młodzieniec ujawnił mu obawę, że jest nieprawym synem i ojciec go nie kocha. „Aby ci dowieść, że cię kocham — odrzekł Febus — proś mnie, o co chcesz, a ja ci to dam". Faeton poprosił właśnie o możliwość przejechania się wozem, nie inaczej niż dzisiejsi młodzieńcy, którzy na potwierdzenie miłości ojcowskiej proszą o kluczyki od auta. „Kompleks Faetona" jest zatem kompleksem osób pozbawionych w dzieciństwie ojca czy matki i obawiających się, że nie są dostatecznie kochane. A zdobycie pozycji władzy przy poparciu wszystkich, na przykład stanowiska z wyboru, jest na pewno pocieszeniem dla tego, kto cierpi na ten kompleks, uspokaja go...

— Co w każdym razie nie powinno szkodzić podwładnym...

— Uspokojenie (zawsze zresztą niepełne) jest tylko połową problemu. Długoterminowe skutki „kompleksu Faetona" są zawsze szkodliwe dla jednostki i mogą być kataklizmem dla społeczeństwa. Kto w dzieciństwie był pozbawiony miłości, marzy podświadomie, aby dać się poznać w zamian za szkody, jakie, swoim zdaniem, poniósł. Nieuchronnie będzie zatem dążyć w sytuacji kryzysowej do wybrania rozwiązania niszczącego tak dla siebie, jak i dla tych, których reprezentuje (spośród tysiąca możliwych przykładów proszę rozważyć upadek „z ognistego wozu" premiera Anthony Edena, kiedy zareagował histerycznie na nacjonalizację kanału egipskiego i wdał się w awanturę desantu w Suezie). Nawiasem mówiąc, „kompleks Faetona" jest typowym zjawiskiem reaktywności psychologicznej, mającej chronić człowieka na początku (sprzyja przywiązaniu między rodzicami i dziećmi) i stał się szkodliwy dopiero później. To samo jest z agresywnością. Powstała jako narzędzie obronne, aby zapewnić pożywienie drapieżnikom, nie dać się zaskoczyć przez przeciwnika. Dziś sprzyja „zapominaniu" znanych faktów z zagrożeniem na przykład dla tych, którzy pilnują bezpieczeństwa jądrowego.

— Naturalnie nie wszystkie błędy wielkich przywódców politycznych wynikają jedynie z „kompleksu Faetona".

— Wśród podstawowych przyczyn wyliczę stresy, nudę, narcyzm i kłamstwo, nerwice. Decyzja podjęta przez osobnika w stanie silnego stresu jest zawsze z samej definicji możliwie najgorsza lub jedną z najgorszych. Tymczasem pilot z regularnym rytmem serca (60—65 uderzeń na minutę) w fazie startu ma normalnie 80, a 150, kiedy przygotowuje się do lądowania na super-przepełnionym lotnisku Kennedy. To znaczy w chwili, kiedy musi podjąć najtrudniejsze decyzje, pilot jest w stanie maksymalnego stresu. Z góry wiadomo zatem, że będzie w niezwykłych warunkach stresowych szef państwa, który musi postanowić, czy nacisnąć czy nie nacisnąć guzika rozpętującego wojnę jądrową.

Nuda rodzi się z powtarzalności zadania. Niepokojący jest przykład pilotów. Ale nie są od tego wolni szefowie państwa, stąd ich tendencja zwalczania nudy za pomocą decyzji „protagonistycznych". Nawiasem mówiąc, jednostka, która nie nudzi i nie nudzi się, ma skłonność do teatralności, jest raczej sentymentalna niż racjonalna, ekshibicjonistyczna, narcystowska. Te wszystkie cechy prowadzą do wybrania decyzji mających maksymalny efekt, nawet kiedy stosunek koszt — korzyści odradzałby to.

Nerwice i psychozy jest to jedyny temat z patologiami ego i super-ego, ale warunkiem wejścia do polityki jest dysponowanie anormalnie rozwiniętym sper-ego. Jednakże każdy, kto ma tę cechę i postanawia zgodnie z imperatywnymi ego i super-ego, działa nieuchronnie na podstawie impulsów zmierzających do wykluczenia racjonalizmu. Z tego wynika zagrożenie, jakim jest każdy wielki przywódca polityczny dla swojego narodu.

— Reasumując, profesorze?

— Właśnie warunki, jakie prowadzą polityka do przywodzenia, są tymi samymi, które go doprowadzą do zaspokajania pragnienia okazania się macho, przyciągania uwagi publicznej, wychwalania samego siebie, podejmowania „historycznych" decyzji. W kategoriach wyboru politycznego ten przywódca będzie zawsze skłonny do upokarzania „wrogiego" kraju, zamiast starania się, aby osiągnąć z nim kompromisowe rozwiązanie; do stosowania eskalacji w wojnie słów i pogróżek; do ingerowania (z lub bez pomocy wojskowej, zwłaszcza odwoływania się do szpiegowskich i tajnych inicjatyw) w sprawy wewnętrzne innych krajów; ponadto do infiltrowania, najazdu na kraj nieprzyjacielski; a ostatecznie do rozpoczęcia wojny jądrowej.

— Dżyngis Chan napełniał roztopionym ołowiem uszy jeńców, Tamerlan lubił podziwiać piramidy z czaszek zabitych wrogów, Iwan Groźny kazał powoli obracać na rożnie kobiety, aby je przypiec, a Turek Hamid II unicestwił 100 tysięcy Ormian, Marat żądał „ścięcia 200 tysięcy głów, aby zatriumfowała rewolucja" i bliższy nam Hitler z holokaustem, Pol Pot, Bokassa, Idi Amin nie byli zatem okazjonalnymi i nie wyjaśnionymi wyjątkami historii?

— Ani okazjonalnymi, ani nie wyjaśnionymi. Reprezentowali jedynie skrajne przypadki tendencji „odwrotnej selekcji", według której ludzkość zmierza do powierzania swoich losów osobnikom (początkowo Hitler też doszedł do władzy dzięki zwycięstwu wyborczemu) z upośledzeniami i patologiami.

— Ale dlaczego to robimy, co nas skłania do wybierania za pomocą głosowania „tych" polityków?

— Winy polityków są zawsze naszymi winami. To my wolimy wybierać przywódców, którzy nas nie nudzą, którzy nas zaskakują, którzy są o piędź ponad innymi. Lubimy szefa zdolnego wygłaszać głośno koncepcje, które podzielamy, ale których się wstydzimy (na przykład rasizm i antysemityzm). Jest normą, że większość oddaje swój głos „najgorszemu" wśród tych, którzy rywalizują o publiczne względy. Jest wyjątkiem że do kierowania krajem zostaje wybrany w głosowaniu człowiek nie ze względu na egoizm jednostek, ale na interes zbiorowości. W historii było niewiele tego rodzaju wyjątków: Gandhi, Lincoln, Waszyngton. W odleglejszych czasach może Jezus, który zresztą — wystarczy przypomnieć sobie sprawę Barabasza — nie miał w swoim czasie „większości głosujących".

Aby zwalczyć własne niedostatki fizyczne i psychiczne, wielu przywódców politycznych ucieka się do leków, które naruszają ich trzeźwość umysłową. Poza Hitlerem (w ostatnich latach stale znarkotyzowanym przez „leki" doktora Morella), Eden podjął decyzję wojny o Suez, kiedy był pod działaniem środków podniecających (anfetaminy); Kennedy podjął błędną decyzję w sprawie Zatoki Świń, kiedy brał wielkie dawki środków cortisonowych, aby uśmierzyć chroniczny ból pleców.

— Czy trzeba zatem odebrać wielkie decyzje polityczne jednostce i narzucić, aby podejmował „zespół" na górze?

— Byłby to lek gorszy od choroby. Zbiorowe decyzje są najgorszą normą wskutek ściśle określonej serii motywów. W grupie każda jednostka wstydzi się ukazać, w porównaniu z innymi, skłonniejsza do „pertraktacji", każdy przeskakuje drugiego w najskrajniejszej decyzji, decyzja grupowa zawsze pozwala uciec od indywidualnej odpowiedzialności za wysunięte propozycje. Decydująca zbiorowość czuje się nie narażona i ignoruje istnienie drugiej strony (kto by zasygnalizował racje „wroga", zostałby po prostu określony jako zdrajca).

— Bez decyzji zbiorowych mogliby przynajmniej pomóc przywódcy „konsultanci"?

— Nie sądzę. Na papierze nic nie gwarantuje, że konsultant jest zręczniejszy od numeru jeden. Zresztą doradca jest rzadko bezinteresowny, choćby dlatego, że aby nim zostać, musi mieć przynajmniej poparcie przywódcy, a otrzyma je łatwiej, przedstawiając jako sugestie właśnie rozwiązania, do jakich już się przywódca skłania.

— Starannie gromadzę pańskie „nie", profesorze. Czy pan widzi też rozwiązanie problemu? Czy dla rodzaju ludzkiego istnieje możliwy sposób działania, za pomocą którego można by uniknąć, aby przywódcy nie doprowadzili do samozniszczenia ludzkości?

— Nie będzie łatwo (i nie ma wiele czasu), ale są drogi. Pierwsza, i proszę jej nie traktować jako wydeptanej drogi, to ta, aby naciśnięcie guzika bomb „kosztowało" tego, kto to ma zrobić. Dziś jedynymi, którzy by przeżyli wojnę jądrową, są właśnie najwyższe szczyty wojskowe i polityczne. Nie żądam poświęceń, jak u starożytnych Azteków, ale wydaje mi się teoretycznie słuszne, aby ten, kto decyduje o śmierci milionów istnień ludzkich, najpierw poświęcił własne życie.

— Dobra rada, chociaż jej realizacja jest nieprawdopodobna. Inne drogi?

— Jedna dotyczy biochemii mózgu. W teoretycznej symetrii dwóch półkul uczeni zasugerowali, że decyzje gracza hazardowego są zazwyczaj podejmowane przez lewą część mózgu. Mogłoby być korzystne, gdybyśmy się przyzwyczaili do wybierania przywódców, u których dominująca byłaby półkula prawa... Inna droga polegałaby na poprawianiu not psychopatologicznych dostrzegalnych wśród ograniczonej grupy polityków, w rękach których znajduje się władza rozpętania wojny jądrowej. Czwarta polega na wybraniu tylko tych polityków, którzy wychwalają i bronią celów odmiennych od typowych dla obecnej przeciętnej wśród szefów państw (machizm, „zwycięstwo nad wrogiem" itp.). Jest jeszcze jedno rozwiązanie: powierzenie władzy kobietom.

— Kobietom?

— Tak, w historii nie ma śladów kobiecych postaw „nekrofilskich", jak u bardzo wielu mężczyzn-przywódców, autorów eksterminacji i ludobójstwa. Kobieta to znaczy norma „biofalii": umiłowanie i chronienie życia. Jest taka wskutek oczywistych racji rozwojowych i nacisków „kulturalnych" (bo to ona przekaże życie) oraz wskutek różnic endokrynalnych (hormon agresywności testeron jest w przeważającej mierze męski). Z tego wynika alternatywa na przyszłość: odebrać mężczyznom i zastrzec dla kobiet decyzje polityczne o rozpętaniu wojny.

— Tak, ale jest jeszcze jedno zastrzeżenie: jeżeli, jak pan mówi, rozwojowe zmiany genetyczne wytworzyły „tych" ludzi przez miliony lat, jaką wiarygodność może mieć pogląd, że niejaki profesor Dixon przedstawia tezy zdolne zmienić człowieka od rana do wieczora?

— Powiedziałbym, że niewielką wiarygodność. Ale to nie powód, aby milczeć: one must always try, trzeba zawsze próbować.

Nad Bugiem wstaje dzień świętego Onufrego

Piotr Beck

— JA zabyła, kak jewo zawut. Szepczą babki okutane w czarne suknie. Szepczą śpiewnym rusińskim akcentem; szepczą głowa przy głowie. „Mołodycie" noszą białe, krochmalone chustki. Brodaci księża w wysokich, płóciennych czapkach witają się pocałunkiem i kreślą na piersiach zamaszysty znak krzyża. Jak zawsze przy święcie i w swoim własnym gronie, ludzie świadczą sobie życzliwość. Pełno tu uśmiechów i ciepłych gestów sympatii. Pękate autobusy, zawracając, raz po raz podnoszą tumany kurzu na drodze. Młodzi diakoni i zwyczajni porządkowi wprowadzają ład w automobilowy chaos. Pasażerowie siedzą do końca odświętni i wyczekujący.

Skrzypią od świtu koła chłopskich furmanek. Ciągną tak z Kodnia, Sławatycz, Kopytkowa, Horystyty. Za nimi stąpają po wysokiej grobli pielgrzymki piesze. W rękach dierżą ikony i świece, śpiewają pieśni. Kobiety dźwigają ciężkie torby z pożywieniem. Przystają pod krzyżami, żegnając się nabożnie. Wstaje dzień świętego Onufrego.

— Ile tu młodzieży! — mówi pan Adam. — To nasza radość.

Chóralne śpiewy mieszają się teraz w ciężkim czerwcowym powietrzu. Z nowego „mercedesa" wysiada chyba biskup. Ma niebieską, trójgraniastą czapkę. Na wierzchu sutanny świeci się ogromny, srebrzysty krzyż. Jakaś stara kobiecinka usiłuje dotknąć ręki dostojnika. Słodki zapach kadzideł zlewa się z ostrą wonią nowomodnych perfum.

Nie wiadomo skąd i nie wiadomo kiedy, przypłynęła rzeką Bug ikona i zatrzymała się w Jabłecznej. Na desce wyciągał w jasne niebo wątłe ramiona święty Onufry. Był to widomy znak. Na miejscu znaleziska należało pobudować klasztor. I tak się stało. Między konarami grubych, wiekowych drzew połyskuje teraz „cebulka" kopuły klasztornej cerkwi. Białe budynki rozsiadły się na niewielkim wzniesieniu pośród nadbużańskich łąk. Jeszcze parę metrów — i oto już, spełniająca funkcję dzwonnicy, brama z ikoną i starosłowiańskim napisem. Przez okienka dzwonnicy wychylają się niedorostki. W normalny czas musi tu panować cisza, a w upalny dzień — miły ciału chłód. Dobre to miejsce na kontemplację.

— Panie Adamie, kiedy wzniesiono ten monastyr? — pytam swego przewodnika po Jabłecznej.

— Tak dokładnie nie wiadomo, ale po 1498 roku świadczą już o nim dokumenty.

(Niektórzy uważają, że słynne freski z kaplicy św. Trójcy na zamku w Lublinie są właśnie dziełem jabłeczańskich mnichów).

Przy klasztornym murze rozsiadły się kolorowe budy. One nie mają nic z powagi. Jak to przy odpuście, oferują ludziom kolorowe trąbki, tombakową biżuterię i znak nowych czasów — Smurfy. Można tu także kupić ciemne, włoskie okulary i ceratowe piłki na gumowej nitce. Dzieci przestępują niecierpliwie z nogi na nogę. A obok stoiska z wydawnictwami, broszurami i folderami. Młody człowiek przelicza po ukraińsku pieniądze i mówi „spasiba". (Podobno zza rzeki przychodzą grupki wiernych i przynoszą prawdziwe złoto). Z rozlewającego się wokół gwaru coraz mniej rozumiem. Kiedy jednak mija mnie grupa długowłosych księży, czuję nagle jakby ożywioną powagę wieków. Jakąś obcość i swojskość zarazem, jakby dotyk dawnego pogmatwania.

„Wyszli. Pan Skrzetuski poszedł do kościoła, pan Zaćwilichowski do cerkwi...".

Co nam zostało z tej dwoistości, a może troistości wyznaniowej? Co przechowaliśmy z tej tolerancji, z którą, gwoli prawdy, różnie w różnych czasach bywało? Uspokojone pogranicze? Brak narodowych i religijnych animozji? Ale przecież chyba i duch rozmarzenia, niecierpliwości i jedynej w świecie fantazji. Tylko tutaj i tylko takiej. Jakiż kawał narodowej kultury z tego właśnie wyrastał...

Po uchwaleniu Wielkiej Konstytucji „Gazeta Narodowa i Obca" pisała: „Gdyby była Rzeczpospolita dawniej podobnie z tym ludem postępowała sobie, gdyby zamiast prześladowań i ucisków, lud ten znajdował w rządzie i własności i obrządków swoich opiekę, żyzne Ukrainy i Podola niwy nigdy nie byłyby się tylekroć krwią naszą zbroczyły, ani obca intryga nie znalazłaby tak łatwego przystępu do serc, przywiązanych do swojej ojczyzny i w niej szczęśliwych".

— Od dwóch, trzech lat przyjeżdża tu, na to uroczysko, po kilkanaście tysięcy ludzi z całej Polski. Ale pop, jadąc do miasta, nadal czuje się niepewnie, gdy odwiedza wiernych w osiedlowych blokach. Tolerancja to wielkie słowo. Gdyby nie ostatnie zmiany, na pewno by pan tu nie przyjechał.

Sama cerkiew nie jest stara. Świeci teraz nowym tynkiem, choć tak w ogóle zbudowano ją w 1840 roku na planie greckiego krzyża. Ściany ozdabiają suto malowidła: portrety świętego Onufrego na desce z XVIII wieku i rokokowy wizerunek Matki Boskiej. Cieszy wzrok wspaniały ikonostas, oddzielający mniejszą część cerkwi od większej. Za „carskimi wrotami" ukrywa się ponoć obraz zwany tronem. Widać go jednak tylko wtedy, gdy drzwi są otwarte. Teraz pozostają zamknięte i wierni mogą się tylko domyślać, co czynią za nimi duchowni. Wyobraźni pomaga diakon, informujący o przebiegu celebry. Pochylają się płomienie świec od oddechów i od ludzkiego niepokoju.

Pisał znawca przedmiotu: „Nabożeństwa prawosławne są dramatyczne, pełne ruchu, barwne i głośne. Dużo w nich śpiewu i głośnych modlitw, a liczne procesje, przechodzące tam i z powrotem przez »święte wrota« w świątyni, stwarzają nastrój ustawicznej zmienności i niepokoju. Spala się przy tym wiele kadzidła i świec. Kult ten nie jest tak dokładnie określony jak w kościele katolickim, brak mu umiaru i spokoju. Nie używa się instrumentów muzycznych, natomiast przywiązuje wielką wagę do śpiewu solowego i chóralnego".

Po lewej ręce ścieśnia się za żelaznym ogrodzeniem przyklasztorny cmentarz. Na granitowych nagrobkach powiewają pęki różnokolorowych wstążek.

— Już niedługo wieczór. Niech pan zobaczy, jak kobiety przemywają sobie oczy świętą wodą.

W małej, kopulastej grocie kryje się wąska studzienka. Czyste, chropowate ściany odbijają głośnym echem pełne namaszczenia zaklęcia. Zanurzają się dłonie w plastykowych naczyniach i unoszą do czoła. A na łąkach wokół monastyru rozrasta się kemping. Mężczyźni, bez marynarek i z podwiniętymi rękawami, rozbijają namioty. Wielkie płócienne miasto połyskuje białymi i ciemniejszymi plamami. Obrosła winem plebania wygląda jak kresowy dwór, wokół którego biwakują żołnierze. Wciąż nowe autokary nadjeżdżają groblą. Najwięcej z Białegostoku, ale są także z Warszawy, Lublina, Wrocławia. Teraz tłum wypełnia już szczelnie klasztorny dziedziniec. O zmroku przeniosą się modły nad samą rzekę. Popłynie wodą rozedrgany śpiew.

Fot. Waldemar Stępień

Wychodzimy z panem Adamem poza obręb klasztornego muru. Czytam w przewodniku: „Kompozycja ta, bardzo rozległa i znacznie różniąca się od innych założeń ogrodowych, zarówno klasztornych jak i świeckich, wykształciła się w XIX wieku. Elementami tej kompozycji były budynki klasztorne — cerkiew pod wezwaniem świętego Jana Apostoła otoczona murem z bramą-dzwonnicą, zabudowania klasztorne otaczające dziedziniec, ogrody użytkowe położone na wschód i południe, skarpy i wały otaczające te ogrody, sadzawka w południowej części i drogi wokół nich; droga z klasztoru do wsi oraz droga z klasztoru do rzeki i dalej do pustelni, obsadzona różnymi gatunkami drzew, kaplica pod wezwaniem Zaśnięcia Matki Boskiej, staw położony na północny wschód od zabudowań klasztoru, trzy stawy w części południowo-wschodniej, stara dąbrowa poprzecinana drogami spacerowymi, łąki, zagajniki i rozlewiska otaczające to wszystko. Po drugiej stronie Bugu znajdowały się w lesie drewniane domki pustelnicze i drewniana kaplica błogosławionych Hermana i Sergiusza".

Ale tak było niegdyś. Dziś stawy zanikły lub je zdewastowano, wycięto wiele drzew, zaorano drogi procesyjne, a na klasztornych łąkach PGR Koroszczyn wypasa teraz bydło. W sąsiedztwie starej alei ustawiono drewniane wiaty, szopy i zagrody. Tylko mały ogród warzywny trzyma się naprawdę dzielnie. Tuż za nim do trzech bielonych wychodków ustawiają się kolejki potrzebujących.

W gęstniejącym mroku wylewa się teraz światło z cerkwi, a coraz więcej migotliwych punktów rozpala się także na rozległych łąkach.

— Prosimy na posiłek — zachęca pan Adam.

— Niech pan się nie obraża — mówi jeden z siedzących obok mężczyzn — ale przez czterdzieści lat nikt się nami nie interesował. No, może trochę „Kurier Podlaski" z Białegostoku. Dopiero teraz, kiedy przyszło tysiąclecie chrztu Rusi, kiedy wolno...

— Prawosławie jest tak samo stare w Polsce jak Kościół rzymskokatolicki. Tylko, że on przeżywa teraz złoty wiek.

— Kiedy przychodzi ksiądz do szpitala, szykuje na śmierć także prawosławnych.

— Do lubelskiej cerkwi wciąż chodzi się chyłkiem.

— To nic — mówi pojednawczo pan Adam. — My mamy także swój dobry czas.

Gryzę przed wielkim namiotem biały chleb i wędzoną rybę, popatruję w ciemne niebo, na którym pojawiają się pierwsze gwiazdy. Słucham tej rozciągliwej mowy, odległej, pełnej dostojeństwa pieśni, i znów nie mogę się oprzeć uczuciu jakby obcości i jedności, wyniesionemu z młodocianej lektury, tak mocno wrośniętej w narodową tożsamość.

„Ta noc cicha, płonące ogniska, dzikie postacie i pieśń o panu Mikołaju Potockim, jeszcze nie dośpiewana, rozbudziły w rycerzu jakieś dziwne myśli, jakieś uczucia i tęsknotę, z których sam sobie sprawy zdać nie umiał. Nie zagojone rany jego serca otworzyły się, ścisnął go żal głęboki za niedawną przeszłością, za utraconym szczęściem, za owymi chwilami ciszy i pokoju. Zadumał się i rozżalił — a tymczasem did śpiewał dalej:

Stań, obernysia, ihlań, zadywysia, kotory wojujesz,
Łukom striłamy, porochom, kulami, mieczem szyrmujesz,
Bo też rycere i kawalere pered tem buwały,
Tym wojowały, od tohoż mecza sami umirały!"

Coraz więcej ludzi ubywa teraz na cztery odpustowe nabożeństwa, trwające od wieczora do rana. Przed „czasownią" — kaplicą pod wezwaniem Zaśnięcia Matki Boskiej — koncertują chóry. Rozedrgane mrowie świec posuwa się wysokim wałem w stronę rzeki. Przenika nas późno-nocny chłód, ale całe to zbiorowisko żyje, przemieszcza się, kolęduje. Czuję się osamotniony i wyizolowany. Coraz bardziej ta ożywiona noc zamyka w sobie jedność tych, co tak samo wierzą i tak samo czują. Pan Adam zagubił mi się gdzieś w tłumie. Młody ksiądz z Wyższego Prawosławnego Seminarium Duchownego w Warszawie (Oddział w Jabłecznej) nie ma czasu na rozmowy. Co chwila ludzie pozdrawiają się czymś, co brzmi jak: „Na wiki wikiw". Sięgam więc znów pamięcią do historii.

„Chrześcijaństwo we wschodnim rycie bizantyjskim z liturgią słowiańską dotarło na ziemie polskie za pośrednictwem Cyryla i Metodego w 863 roku (państwo Wiślan). A więc na wiek przed przyjęciem przez Polskę chrztu. W czwartym ćwierćwieczu książę kijowski Włodzimierz rozpoczął chrystianizację Rusi Kijowskiej i Halickiej przy pomocy kapłanów bizantyjskich. W końcu X wieku Włodzimierz zajął Grody Czerwieńskie, zamieszkałe przez Polaków, z miastami Czerwień, Przemyśl, Chełm. Wraz z nimi dotarło tu prawosławie. Według legendy, Włodzimierz miał założyć w 1001 roku katedrę w Chełmie. Na tym pograniczu polsko-ruskim wpływy prawosławia i katolicyzmu ścierały się od X do XIV wieku. W XIII wieku powstało biskupstwo prawosławne w Uhrusku koło Chełma, w 1242 roku przeniesione przez księcia Daniela do Chełma..."

A potem była Unia kościelna i wojny religijne, i mrok zaborów. Cała ta faktografia ma w Jabłecznej o tyle tylko znaczenie, o ile rozbudza emocjonalne przeżywanie.

Ale oto nad Bugiem wstaje dzień. Następny. Nad rozległymi łęgami unoszą się opary rzadkiej mgły. Budzą się ptaki, a światło słońca wyjmuje z mroku zmęczone, choć wciąż jeszcze podniecone, postacie wiernych: i ciemne sutanny księży (teraz fioletowe), i białe chusty młodych kobiet (teraz sino-blade), i szare ubrania chłopskie (teraz okraszone barwą). Pieśń jakby przygasa; jakby coś się kończyło. Nocne uniesienie — dostępne tylko w mroku i przy blasku świec — maleje. Pan Adam już stoi obok mnie. Patrzymy na drugi brzeg rzeki i wstającą zza horyzontu czerwień. Potęguje się krzątanina, zwiastująca rozejście się. Ludzie mają teraz twarze syte poczuciem spełnionego obowiązku. Jeszcze raz spoglądam na ołtarz mieniący się złotem.

— To także część pańskiego dziedzictwa — mówi nagle pan Adam. — To część dziedzictwa nas wszystkich.

— Wcale w to nie wątpię — odpowiadam, choć wiem, że nie takie to proste i nie takie jednoznaczne, pełne bolesnych, trudnych i tragicznych odniesień.

Spotkania z Michaiłem Gorbaczowem

Dokończenie ze str. 1

strumienia, płynącego obok muzeum w Poroninie. W pogodne niebo uderzają dźwięki Międzynarodówki i płyną gdzieś daleko w stronę zamglonych szczytów górskich. Dokonuje się akt-symbol historycznej ciągłości. „Jesteśmy wzruszeni — powie Michaił Gorbaczow. — Przecież z punktu widzenia historii to krótki relatywnie czas od chwili, gdy spacerował tędy Włodzimierz Iljicz. A jak zmienił się świat od tamtych dni!".

Przy ustalaniu programu wizyty, radziecki przywódca szczególnie podkreślał wolę odwiedzenia Krakowa. Wiążą go z tym miastem również rodzinne wspomnienia.

Kwiaty na płycie upamiętniającej przysięgę Kościuszki, spacer po Rynku, Sukiennice, Kościół Mariacki z ołtarzem Wita Stwosza i śniadanie u „Wierzynka". Powitanie krakowskie jest huczne i barwne. Ale prawdziwym wydarzeniem stanie się wieczorne spotkanie z młodzieżą na dziedzińcu wawelskim. „Nigdy nie zapomnę tej podniosłości i otwarcia, luzu i ciepła, które wypełniły dzisiaj Wawel — powiedziała Anka Jerlicz z krakowskiej Chorągwi ZHP. — Koncert był wspaniały: jazz i balet, opera i pop, drobny happening i oczywiście hit wieczoru »Michaił, Michaił«. Kiedy to wszystko przetaczało się po krużgankach, kiedy zapaliły się jupitery, kiedy poczułam coraz silniej rodzące się uczucie więzi między zebranymi, pomyślałam, że tylko tak może się rodzić szczera przyjaźń".

Michaił Gorbaczow mówił na Wawelu o etosie pracy, o pracy celowej i pożytecznej, która sama w sobie humanizuje człowieka. Przypomniał przypowieść ze swojej książki o robotniku, który tocząc kamień wznosi zarazem świątynię. Wojciech Jaruzelski odwołał się do młodzieńczego buntu, zadziorności i przekory.

Na długo przed przybyciem gości huczał wawelski dziedziniec śpiewem i obcojęzycznym gwarem. Zapanowała atmosfera pikniku. Wielu młodych przyniosło ze sobą gitary. Długonogie dziewczyny obsiadły metalowe podium dla prasy. Byli żołnierze, robotnicy i adwentyści dnia siódmego. Ogromna liczba najmłodszych mieszkańców Krakowa. Michaił Gorbaczow otrzymał Order Uśmiechu. Tym razem nie kazano mu wypić tradycyjnego pucharu z sokiem cytrynowym. Ceremonia ta omija najwybitniejszych przywódców świata, którzy otrzymują to odznaczenie. „Być może jest to największe wyróżnienie, jakie otrzymałem dotąd w życiu" — powiedział Gorbaczow.

Opustoszał Wawel, na dziedzińcu pozostały równe rzędy krzeseł, czerwony dywan spływający z białej sceny i dwie flagi, polska i radziecka, zawieszone obok siebie na kolumnadzie pierwszego piętra. Kamienne piastowskie orły schowały się w mroku. A o tej późnej godzinie przed białym dworkiem przy ulicy Kościuszki 37 zatrzymała się kawalkada samochodów. Tutaj czterdzieści trzy lata temu leczył się z ran ojciec Michaiła Gorbaczowa.

„Kiedy mój ojciec wrócił z frontu — opowiadał Michaił Gorbaczow licznie zebranym, mimo późnej pory, mieszkańcom okolicznych domów — wspominał, jak był ciężko ranny w tym rejonie i jak leczył się w szpitalu polowym, w mieście, gdzie żył i działał Tadeusz Kościuszko".

Warto wsłuchać się dobrze w te słowa, w historyczną konotację, świadomie, jak sądzę, przywołaną.

Wiatr od morza

Po dostojnym Wawelu spotkanie szczecińskie miało odmienny klimat. Ta zmienność nastrojów była zresztą także cenną zdobyczą tej wizyty. Wnętrze Wydziału K-1 szczecińskiej stoczni tworzy iście surrealistyczny krajobraz. Wszędzie stalowe konstrukcje, przy ścianach i w rogach hali potężne dźwigi suwnicowe. Światło z pootwieranych drzwi formuje gigantyczną literę Z nad głowami i ramionami zgromadzonych ludzi. Tłum jest różnobarwny: jedni przyszli na to spotkanie w drelichach i roboczych fartuchach, inni w odświętnych garniturach. Gdy wszyscy wstaną, by powitać Michaiła Gorbaczowa, zobaczę jak starsza kobieta w czerwonym swetrze będzie ocierać ukradkiem łzy. Jeden z dwóch rozwieszonych pod stropem transparentów głosi: „Jesteśmy solidarni z przyjaciółmi radzieckimi w ich wielkim dziele przebudowy". Radziecki gość odwoła się do tych słów w swoim przemówieniu, które zaimprowizuje, bez posługiwania się gotowym tekstem.

„Przed ośmiu laty wybuchł tutaj słuszny protest klasy robotniczej przeciwko deformacjom socjalizmu — powiedział Wojciech Jaruzelski. — Podpisano tu społeczne porozumienie. Wszystko to, co konstruktywne z tamtych ustaleń, znajduje swą realizację w procesie odnowy".

Franciszek Olczak — spawacz ze stoczni im. Warskiego — przekazał radzieckiemu przywódcy model statku „Georg Ost", który był domem Gorbaczowa podczas historycznego szczytu w Reykjaviku.

Wiatr od morza powiał dopiero przed wieczorem. Zakołysały się flagi na Cmentarzu Centralnym, kryjącym prochy żołnierzy 61 Armii II Frontu Białoruskiego i I Armii Wojska Polskiego. Przedtem był jeszcze spacer Aleją Fontann, odwiedziny na Zamku Książąt Pomorskich i kwiaty pod pomnikiem Czynu Polaków. I znowu przeprowadził Michaił Gorbaczow dziesiątki nieformalnych rozmów z mieszkańcami Szczecina. Wielokrotnie podkreślał piękno „tego starego polskiego miasta, tej starej piastowskiej ziemi". Komentarze zachodnioniemieckie z tego dnia wizyty koncentrowały się tymczasem nadal na warszawskich propozycjach rozbrojeniowych.

Jakub Miechowicz — mistrz w Stoczni Szczecińskiej powiedział: „Wiele czytałem i słyszałem o Michaile Gorbaczowie. W przekazie telewizyjnym z uroczystości powitania na płycie warszawskiego lotniska znalazłem pełne potwierdzenie moich poprzednich opinii. Nie zawahał się przedłużyć nieco pobytu na lotnisku, by odejść od zwyczajowego rytuału oficjalnego powitania, wmieszać się w tłum oczekujących, podziękować im za powitanie i wyrazić radość, że znalazł się na gościnnej polskiej ziemi. Tak rozmawiają ze sobą przyjaciele. I my w polskim Szczecinie, w stoczni Warskiego równie gościnnie, serdecznie i godnie go powitaliśmy".

Zamkowe rozmowy

W końcu przyszedł czas na intelektualne dywagacje o stanie obecnym i przyszłości świata. Na Zamku Królewskim w Warszawie zebrali się polscy i radzieccy intelektualiści: luminarze polskiej i radzieckiej kultury, nauki, sztuki. Różne były te głosy. Nie zabrakło w nich obaw i przestróg, entuzjazmu i samozadowolenia. Niekwestionowana pozostała jednak ich żywość i zaangażowanie wobec otaczającej nas rzeczywistości. Najpełniej zabrzmiał bodaj głos Krzysztofa Teodora Toeplitza, który wezwał do budowy nowego myślenia w obliczu czekającej świat innej cywilizacji, cywilizacji bez wojny, ale z rozlicznymi zagrożeniami odmiennego typu. W wypowiedzi tej zawarł się imperatyw rezygnacji ze starych mitów i kręgów odniesień, nakaz budowy nowego człowieka.

„Jesteśmy potrzebni sobie nawzajem — podsumował to spotkanie sekretarz generalny KC KPZR — i chcemy nawzajem siebie bliżej poznać oraz wychodzić sobie naprzeciw. Zapanował wśród nas duch zbliżenia. To są już nie tylko stosunki radziecko-polskie na szczeblu politycznym, jest to ruch, który realizują zwykli ludzie. Bardzo się cieszę, że doszedłem do tego wniosku obcując teraz z Polakami".

* * *

Poznaliśmy więc jeszcze bliżej Michaiła Gorbaczowa. Zetknęliśmy się bezpośrednio z tą osobowością pełną charyzmy, osobistego uroku i energii. Słyszałem, jak na placu Zwycięstwa grupka małych dzieci wołała: „Do nas! Do nas!" i natychmiast do nich podszedł sekretarz generalny KC KPZR. Słyszałem, jak w kuluarach „Interpressu" amerykańscy korespondenci nazywali go zdrobniale „Gorbi" — jak kogoś dobrze znanego i bliskiego. Widziałem łzy w oczach witającej go kobiety.

Michaił Gorbaczow lubi rozmawiać, lubi dyskutować z ludźmi, nie jest politykiem gabinetowym, ale Michaił Gorbaczow potrafi także słuchać. Zapamiętałem jego skupienie, gdy przysłuchiwał się przemówieniu Wojciecha Jaruzelskiego w Sejmie, gdy weterani wojny opowiadali o swych przeżyciach, gdy naukowcy przedstawiali swoje przemyślenia. Michaił Gorbaczow lubi bezpośredniość, ale nie lubi trywialności (choćby jego reakcja na próbę przypięcia mu kostiumowej muszki). Lubi powagę, ale nie znosi taniego sentymentu.

Poznaliśmy i panią Gorbaczow, wiernie towarzyszącą małżonkowi w jego podróżach po świecie. Poznaliśmy jej życzliwość do ludzi, choćby przy okazji pocieszenia zapłakanej Agnieszki w Krakowie. Widzieliśmy, z jakim oddaniem patrzyła na Michaiła Gorbaczowa w chwili, gdy Andrzej Rosiewicz wyśpiewywał refren swojej słynnej piosenki. Widzieliśmy szacunek i uśmiech, z jakim zawsze zwraca się do siebie tych dwoje ludzi. Tak też objawił się ludzki wymiar lipcowej wizyty.

I jeszcze jedno. Po raz pierwszy od ponad czterdziestu lat usłyszeli Polacy od radzieckiego przywódcy słowa o tragicznym losie deportowanych z lat 1939—42 i o tragedii KPP...

Wiesław Horabik

Hallerczycy z Ameryki (2)

Z ziemi obcej do Polski

Tadeusz Radzik

PROWADZONA na terenie Stanów Zjednoczonych rekrutacja do Armii Polskiej we Francji w krótkim czasie uzyskała duży stopień sprawności. Do kampanii propagandowej na rzecz rekrutacji włączyła się większość pism polonijnych. Wydział Narodowy Polski utworzył w październiku 1917 r. specjalny „Fundusz dla żołnierzy polskich", na którym gromadzono pieniądze wpływające do kasy Wydziału od organizacji polonijnych i poszczególnych osób z przeznaczeniem na zaopatrzenie wojska. Tadeusz Wroński zorganizował w październiku 1917 r. Polską Orkiestrę Wojskową (zwaną kapelą Wrońskiego), objeżdżając z nią większe skupiska Polonii i zapewniając uroczystą oprawę przedsięwzięciom związanym z rekrutacją. Helena Paderewska, przy wsparciu swego wybitnego małżonka, była inicjatorką utworzenia Polskiego Białego Krzyża — organizacji, która na terenie Stanów Zjednoczonych, ale zwłaszcza we Francji, sprawowała opiekę medyczną nad żołnierzem polskim.

Istotnym momentem w pobudzaniu rekrutacji było zawarcie 22 lutego 1918 r. umowy pomiędzy Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu a francuskimi władzami wojskowymi, powodującej częściowe (w sensie politycznym) podporządkowanie Armii Polskiej Komitetowi. Decyzja ta rozwiewała wątpliwości co do zakresu samodzielności tej armii, wzmacniała jednocześnie pozycję polityczną Komitetu, jak i samej armii. Do Stanów Zjednoczonych w lutym 1918 r. przybyła ponownie misja wojskowa Armii Polskiej we Francji, by wpłynąć na przyspieszenie tempa rekrutacji, która przebiegała sprawnie pod względem organizacyjnym, aczkolwiek liczba ochotników była zdecydowanie mniejsza, aniżeli się spodziewano. Do lutego 1918 r. wstąpiło do wojska zaledwie około 12 tysięcy ochotników. Jednym z powodów było amerykańskie ustawodawstwo imigracyjne. Dopiero bowiem 18 czerwca 1918 r. obie izby Kongresu uchwaliły rezolucję, zapewniającą wysyłanym na front żołnierzom formacji amerykańskich, polskich i czesko-słowackich, którzy nie mieli obywatelstwa amerykańskiego, powrót do USA z pominięciem formalności imigracyjnych, ale pod warunkiem, iż zgłosili uprzednio chęć przyjęcia obywatelstwa amerykańskiego.

Oznaczało to, iż pierwsi ochotnicy do Armii Polskiej nie mieli gwarancji, że po zakończeniu wojny będą mogli powrócić do Stanów Zjednoczonych, gdzie zostawili swe rodziny i domy. Stąd też dosyć skromne rezultaty rekrutacji. Pewnym zaskoczeniem dla organizatorów były wymagania ewentualnych ochotników w sprawie nie tylko repatriacji, ale także ubezpieczenia i wysokości żołdu.

Niepowodzeniem zakończyła się próba rekrutacji ochotników w Kanadzie, którą podjęto bez formalnej zgody, acz przy pełnej życzliwości władz kanadyjskich. Chęć wstąpienia do Armii Polskiej wyraziło jedynie 221 osób.

Tymczasem w czerwcu 1918 r. Pierwszy Pułk Strzelców Polskich jako pierwsza formacja Armii Polskiej skierowany został na front, gdzie do sierpnia brał udział w walkach w Szampanii, w okolicach Rheims. Padli zabici i ranni. Spośród 106 poległych i zaginionych 77 przybyło ze Stanów Zjednoczonych. Po wycofaniu pułku z frontu i połączeniu z pozostałymi dwoma pułkami Armii Polskiej utworzono z tych jednostek 1 Dywizję Polską (sierpień 1918 r.), którą w październiku skierowano na odcinek frontu w Wogezach, gdzie zluzowała dywizję amerykańską. Zawarcie 11 listopada zawieszenia broni uniemożliwiło 1 DP wzięcie udziału w walkach.

W myśl zawartej pomiędzy Komitetem Narodowym Polskim a rządem francuskim kolejnej umowy w sprawie Armii Polskiej, rozszerzone zostały prerogatywy Komitetu w zwierzchnictwie nad armią, obsadzaniu stanowisk dowódczych itp. W rezultacie tego porozumienia 3 października Komitet mianował Naczelnym Wodzem Wojsk Polskich gen. Józefa Hallera (dotychczas Armią Polską we Francji dowodził francuski generał Archinard). Haller przybył do Francji w lipcu 1918 r. z Murmańska, w krótkim czasie dokooptowany został do Komitetu Narodowego Polskiego, w którym objął przewodnictwo Wydziału Wojskowego i przewidziany był na dowódcę armii.

Ten były pułkownik armii austriackiej, dowódca II Brygady Legionów, po traktacie brzeskim w lutym 1918 r. wypowiedział posłuszeństwo państwom

Dokończenie na str. 7

O BATIUSZCE KTÓRY LATAŁ PTAKIEM

Zbigniew Adrjański

BATIUSZKA nasz prawosławny, Igor Iwanowicz Bułyciński, wielki miłośnik i znawca safianowych butów, tudzież pięknych kobiet, latał już trzeci dzień nad miasteczkiem. Był to zresztą zachwycający widoczek, można powiedzieć nawet, że kryła się w tym jakaś głębsza metafora lub — jak kto woli — aluzja, gdyż batiuszka nasz prawosławny, Igor Iwanowicz Bułyciński, latał... ptakiem.

„Za pozwoleniem — zapyta ktoś oburzony lub nawet zgorszony — czyście się przypadkiem zbytnio nie zagalopowali? Cóż to w ogóle znaczy latać ptakiem? Wszystko to zakrawa na wierutne łgarstwo i kpinę ze zdrowego rozsądku! Wszak człowiek jako taki, i to, w dodatku jeszcze, osoba bądź co bądź duchowna, nie może tak ni z tego ni z owego latać... ptakiem".

„Ja również wypraszam sobie podobne banialuki — powie groźniej ktoś inny. — Latanie ptakiem, Obywatelu Opowiadający, nie mieści się, jak dotąd, w powszechnie stosowanych kategoriach racjonalnego myślenia oraz postępowania. Uprzejmie proszę o wyjaśnienie: co obywatel chciał przez to powiedzieć?"

Widzisz go jaki słodziutki?... Tacy są najgorsi! Ostatecznie mogę zawsze złożyć samokrytykę, ale nie znoszę takiego paskudnego gadania! A jeśli nic nie chcę przez to powiedzieć? Wolno mi? Wolno! Konstytucja nie zabrania. Już Wy mnie do filozofii ani, tym bardziej, do polityki nie mieszajcie! Zresztą — powiem otwarcie: co tu filozofować, skoro batiuszka nasz prawosławny, Igor Iwanowicz Bułyciński, wielki miłośnik i znawca safianowych butów, tudzież pięknych kobiet, latał już trzeci dzień nad miasteczkiem i — to nie da się ukryć! — latał ptakiem.

Za rogatkami od południa na wzgórzu, skąd widać było doskonale, jak batiuszka nasz prawosławny, Igor Iwanowicz Bułyciński, lata ptakiem, zgromadził się tłumek ciekawych. Zjawili się nawet przedstawiciele powiatu, chociaż początkowo nasza władza terenowa chciała ukryć ten cały incydent przed okiem wyższych czynników. Ale jak tu ukrywać, skoro batiuszka nasz prawosławny, Igor Iwanowicz Bułyciński, latał... wysoko. Nie jestem, rzecz jasna, malarzem ani fotografem, lecz spróbuję Wam to wszystko opisać. Otóż Igor Iwanowicz unosił się lekko nad polami uprawnymi i łąkami pełnymi zdziwionego — nie mniej niż ludzie — bydła, a poły jego ciemnozielonej rewerendy rozwiewały się na wietrze niczym skrzydła jakiegoś olbrzymiego ptaka. Do tego dodajmy wspomniane już buty z czerwonego safianu — tak połyskliwe, że od butów tych zaczerwienił się cały horyzont i niebo od południowej strony stało w łunach.

Przesądni — a gdzież ich nie brak! — mówili nawet, że to nie wróży nic dobrego, i krzyczeli: „Bułyciński! Hej Bułyciński! Wracaj na ziemię! Igor Iwanowicz! Dosyć tych figli! Po dobroci ci to mówimy!... Ostatecznie, chciałeś sobie polatać — polatałeś! Przyznaj obiektywnie, że nikt ci w tym nie przeszkadzał, chociaż teraz różnie to może być komentowane. Ale co za dużo — batiuszka ty nasz! — to niezdrowo! I tak stanowczo przeholowałeś! Nie wypada przecież osobie duchownej demonstrować swojej pogardy dla odwiecznych praw natury, która nieprzypadkowo inne zadania stawia ludziom, jeszcze inne rybom — a już zupełnie inne owadom i ptakom. Słowem, krótko mówiąc: cała parafia stanowczo domaga się twojego powrotu na ziemię".

Oddzielną grupę obserwatorów tworzyli nasi wolnomyśliciele i ateiści. „Gdyby obywatel Bułyciński wyleciał ptakiem — dajmy na to — w rezultacie zobowiązania w czynie społecznym, najlepiej na 1 maja lub z okazji innego święta państwowego — mówili — to co innego. A tak samowolne i nieuzasadnione latanie ptakiem przedstawiciela kleru wygląda na szkodliwą demontrację metafizyki i tym podobnych podejrzanych ideologii".

Ale Igor Iwanowicz albo nie słyszał tych głosów, albo uważał, że nie słyszy, i dalej latał ptakiem. Jego — można powiedzieć — powietrzne ewolucje stawały się coraz bardziej zuchwałe i skomplikowane. Nie jestem wprawdzie wielkim znawcą tego tematu, lecz zaryzykuję twierdzenie, że nasz Igor Iwanowicz latał nadzwyczajnie! Nawet najstarsi ludzie w okolicy nie widzieli czegoś podobnego, chociaż opowiadali, że kiedyś, przed laty, młody i egzaltowany diak Gawriło przeleciał dla eksperymentu przez cztery zagony kapusty, nie licząc — oczywiście — głośnego incydentu z ryżym Prokopczukiem, który przyłapany na czułym „tetatet" z aptekarzową, wyleciał z balkonu — tak jak go Pan Bóg stworzył — przeleciał ze strachu całą szerokość rynku i wylądował szczęśliwie w otwartych drzwiach piekarni, gdzie pracował. Ryży ma zawsze szczęście!

Wracajmy jednak do tematu. To, co demonstrował nasz Igor Iwanowicz Bułyciński, to była wyższa szkoła pilotażu. To była — bez przesady! — wyższa szkoła latania ptakiem. Początkowo batiuszka jakby tylko poruszał się w powietrzu, zawieszony między niebem i ziemią, leniwie przebierając palcami u rąk, jak człowiek, któremu się nie śpieszy i który z lubością — a nawet ze znawstwem — zażywa orzeźwiającej kąpieli. Później widocznie jednak zasmakował w swoim położeniu, oswoił się i nabrał odwagi, bo nagle zaczął zataczać jakieś esy i floresy, koła, pętle, ósemki, wreszcie pikował na nas prosto i z poszumem krótko strzyżonej, gęstej brody, to znowu przewracał się na boki, brzuch, plecy, aż strach było patrzeć! Najwyraźniej dawał tym samym do zrozumienia, że kpi sobie z nas — podobnie jak i z prawa ciążenia — oraz że on, nasz dotychczasowy batiuszka i protojerej, powszechnie znany i szanowany Igor Iwanowicz Bułyciński, ani myśli wracać do nas na ziemię. Toteż wokół zapadła męcząca cisza. Wszyscy intensywnie zadzierali głowy do góry, medytując, jak zmusić Igora Iwanowicza do powrotu.

Nawet mnie ogarnęła złość, a później jeszcze apatia. Ktoś zaproponował, że należy uderzyć w dzwony i ogłosić stan wyjątkowy. Niewykluczone jest także użycie siły. Trzydniowy lot Igora Iwanowicza Bułycińskiego wywołał bowiem panikę i spowodował zakłócenia w gospodarce. Latający batiuszka wypłoszył z całej okolicy wrony, kawki i wróble. W świeżych skibach ziemi zalęgły się dżdżownice. Nie mówiąc już o innym paskudztwie. A miasteczko nasze przecież słynęło na całą ziemię białostocką z uprawy warzyw, ogórków i kapusty. Ba! Nawet miedzianą cebulę cerkiewki toczył jakiś czerw smutku. A już sam jej widok co wrażliwszym wyciskał łzy z oczu. Tym bardziej, że od trzech dni stała na niej dorodna i tak zwykle wesoła popadia Jewdokia Iwanowna, która — przesłoniwszy oczy dłonią od blasku zachodzącego słońca, a może i łez — wołała łamiącym się głosem: „Igor Iwanowicz! Oj, Igor Iwanowicz! Wracaj, mężulku! Wracaj, sokole ty mój, na kolację! Ot, widzisz, przyniosłam ci faskę bigosu! A Małynicz świniaka zabił! Chcesz, to zrobię ci kindziuk, albo skwarek nasmażę? Dosyć już! Wracaj, ukochany!"

To było wzruszające, lecz Igor Iwanowicz serce miał z kamienia, zniżył się tylko nieco w stronę, gdzie wyglądała go Jewdokia Iwanowna, i burknął: „Daj spokój, kobieto! Zostaw faskę na dzwonnicy i idź spać! Sam wiem, kiedy mam wrócić. Czy nie widzisz — głupia — że ziściły się moje marzenia?! Popatrz, jak latam ptakiem". I dalej szybował po niebie.

„A ja nie mogłabym polatać z tobą, Igorze Iwanowiczu? — błagała Jewdokia. — Już trzecią noc czekam na ciebie w naszej sypialni! Nie godzi się tak zostawiać żony w opuszczeniu! Ludzie śmieją się ze mnie!..."

Na szczęście, stary, kulawy diak Małynicz, przybrany ojciec popadii, pierwszy obruszył się na podobne ciągotki. „Też mi coś — powiedział i splunął. — Jeszcze tego by brakowało tylko, żeby baba latała nad miastem. Tfu!... Wstydu za grosz nie masz! Nie tak cię chyba wychowałem, Jewdokio Iwanowna. A teraz, masz ci los, doczekałem!... Nie ma co! Mało jeszcze zgorszenia, to i ty, głupia, gołym tyłkiem po niebie chcesz świecić?! Idź lepiej spać, jak ci mąż przykazał!..." Po czym z trudem zlazł z dzwonnicy i zaczął rozniecać wokół cerkiewki cztery ogromne ogniska, aby Igor Iwanowicz mógł sobie spokojnie wylądować w tych ciemnościach. Zaraz po tym wszedł nów, psy w całej okolicy wyły niespokojnie, zrobiło się zimno, wietrzno i nieprzyjemnie, ale batiuszka nasz prawosławny, Igor Iwanowicz Bułyciński, nadal latał ptakiem.

•

Nazajutrz zwołano nadzwyczajne posiedzenie rady miejskiej. Pierwszy zabrał głos sekretarz.

— Nie mamy nic przeciwko lotom obywatela Igora Bułycińskiego — powiedział. — Obywatel Bułyciński pełni w naszym miasteczku odpowiedzialną funkcję metafizyczną i jako taki ma prawo do pewnych eksperymentów w tej dziedzinie. Oczywiście, że wolelibyśmy, gdyby pierwszy latał ptakiem w naszym miasteczku ktoś z odpowiedzialnych towarzyszy z klucza partyjnego. Wcale nie ukrywamy tego, że w najbliższej przyszłości delegujemy kogoś do tej roli. Ale sprawa obywatela Bułycińskiego ma dla nas jeszcze inny dodatkowy aspekt polityczny. Zastanówmy się, towarzysze, czy w fakcie latania ptakiem nie ma przypadkiem chęci oderwania się od mas pracujących naszego miasteczka, od ziemi rodzinnej, od przyjaciół i znajomych? Czy nie ma w tym pogardy dla nas wszystkich? Towarzysze, otwieram dyskusję...

— Moim zdaniem — powiedział przewodniczący rady miejskiej, który reprezentował poglądy bardziej umiarkowane — w samym fakcie latania ptakiem Igora Iwanowicza Bułycińskiego nie widzę nic podejrzanego. Osobiście polemizowałbym ze stanowiskiem naszego drogiego towarzysza sekretarza, który dopatruje się w tej demonstracji politycznych przekonań. Chyba mylicie się, drogi towarzyszu! Dla mnie jest to problem tylko i wyłącznie ekonomiczny. Ostatecznie człowiek zawsze zazdrościł ptakom. Mówi się nawet: wolny jak ptak! Problem ekonomiczny polega jednak na tym, że miasto nasze od trzech dni oblężone jest przez turystów, gapiów i dziennikarzy! Prasa wszelkich odcieni szeroko rozpisuje się na temat tego wydarzenia! Musimy być przygotowani na prawdziwą inwazję gości z kraju i zagranicy! Grozi nam brak chleba, wody i klęska nieurodzaju! Kto wie, czy wobec braku kanalizacji nie wybuchnie epidemia? Oto, nad czym powinniśmy się zastanowić!

— Protestuję przeciwko trywialnemu ekonomizowaniu — powiedział sekretarz — i proszę to zaprotokółować. Ekonomia nie istnieje bez polityki! Co to znaczy: wolny jak ptak? „Wolność jest to uświadomienie konieczności!"

— Nie kłóćcie się panowie — oświadczył doktor. — Ja również zastanawiałem się nad tym fenomenem natury naszego drogiego przyjaciela, Igora Iwanowicza Bułycińskiego, która każe mu latać ptakiem. Otóż — jeśli to panów interesuje — doszedłem do wniosku, że zachodzi tu dziwny przypadek lewitacji, znany z hipnozy, wobec którego medycyna jest jeszcze zupełnie bezradna. Niewykluczone jest także, że Igor Iwanowicz utożsamia się z jakimś ptakiem — oczywiście dużym, na przykład choćby z orłem albo jastrzębiem? Mielibyśmy także wobec tego dodatkowy i rzadki przypadek tzw. paranoi — niesłychanie interesujący z punktu widzenia teorii psychiatrii. Alternatyw takich zresztą jest znacznie więcej! Freud w swoim czasie...

— Teraz to ja protestuję i proszę to starannie zaprotokółować — krzyknął nauczyciel, człowiek młody i popędliwy. — Doktór zohydza nam najpiękn-

Rys. Tomasz Wilczkiewicz

niejsze i najszlachetniejsze porywy duszy ludzkiej? Freud!? Co ma do tego ten stary bałwan! Czy naprawdę mamy słuchać tej pseudonaukowej interpretacji? Nie obchodzi mnie ta cała czcza gadanina o fizjologii, psychiatrii i anatomii! „Czucie i wiara silniej mówią do mnie — niż mędrca szkiełko i oko".

— Mówcie konkretnie, o co wam chodzi? — zaniepokoił się sekretarz. — Nie wszystkie cytaty mogą odnosić się do naszej rzeczywistości.

— O co mi chodzi? — załamał ręce nauczyciel. — A Dedal?... A Ikar?... Rację ma przewodniczący, gdy mówił o odwiecznej tęsknocie ludzkiej do skrzydeł. „Hej, nad martwym wzlecieć światem, w rajską dziedzinę ułudy"... Zresztą, drodzy przyjaciele! Nie będę nikogo cytował. Przeczytam wam własny wiersz o Ikarze, jaki pozwoliłem sobie w swoim czasie napisać.

— Mam nadzieję, proszę państwa, że nie jest to wieczór poetycki naszego szanownego profesora — odezwał się ksiądz proboszcz. — Wiersze o Ikarze! Grecka mitologia i filozofia pogaństwa! Oto, czegośmy się doczekali w naszym pięknym XX wieku! A tu trzeba po prostu ratować powagę osoby kapłana, chociaż jest to kapłan odmiennego niż moje wyznania. Przejęty jednak duchem ekumenizmu, będę modlił się wraz ze swymi wiernymi, aby Pan nasz w dobroci swojej zesłał opamiętanie i odpuścił grzech pychy, jakiemu uległ Igor Iwanowicz Bułyciński. Powiedziane jest bowiem w Ewangelii Świętej pod rozdziałem...

— Wiem, że ksiądz proboszcz chętnie egzorcyzmy odprawia — wycedził przez zęby radny Kirylenko — ale tym razem niech obejdzie się bez tego. W naszej parafii popi zawsze latali ptakiem i taka już jest tradycja. W roku 1814 w letopisie parafialnym jest wzmianka, która dotyczy batiuszki Timofieja Timofiejewicza Carapkina. Otóż Carapkin skonstruował nawet specjalne skrzydła do latania i poniósł śmierć, skacząc na skrzydłach z dzwonnicy na okoliczne pola.

— Jakie to piękne — entuzjazmował się nauczyciel. — Panowie, uczcijmy minutą ciszy...

— Wiem o tym — zgodził się ksiądz — ale panie Kirylenko! To zupełnie inna sprawa! To można nawet nazwać próbą technicznego eksperymentu, próbą, która — niestety w tym wypadku — zakończyła się nieszczęśliwie, ale...

— Żadne „ale", proszę konkretnie — nalegał Kirylenko. — Czy w samym fakcie budowy skrzydeł do latania widzi ksiądz coś grzesznego?

— Nie widzę — odpowiedział ksiądz

— Czyli, jeśli ktoś lata przy pomocy skrzydeł, to tym samym nie grzeszy?

— Za kogo pan mnie ma, panie Kirylenko — odparł dumnie ksiądz. — Przecież eksperymenty ze skrzydłami doprowadziły do budowy awionetek i maszyn latających, nie mówiąc już o współczesnych samolotach. O tym wie każde dziecko.

— Dobrze — podchwycił Kirylenko. — Idąc za tokiem rozumowania księdza, jeśli człowiek konstruuje samoloty i rakiety, żeby w nich latać, to również nie ma w tym nic grzesznego?

— Nie ma — odpowiedział ksiądz.

— Chociaż w przyrządach tych, to znaczy rakietach i samolotach, lata człowiek?

— Do czego pan zmierza? Panie Kirylenko — zapytał ksiądz.

— Zaraz powiem do czego! — zaperzył się Kirylenko. — Bo teraz wyszła na jaw obłuda księdza. Jeśli człowiek konstruuje samolot z kupy żelastwa i lata wraz z tym całym żelastwem, to zdaniem księdza, wszystko jest w porządku. Ale jeśli człowiek pragnie latać i lata bez tego całego żelastwa, to wtedy popełnia grzech pychy! Dla księdza ważniejsza jest kupa latającego żelastwa niż człowiek! Dla mnie jednak ważniejszy jest człowiek!

— Skoro mnie tu obrażają, pójdę sobie — oświadczył ksiądz, trzaskając drzwiami.

— Ot i będziemy jeszcze mieli wojnę religijną — pokiwał głową sekretarz. — A wy co sądzicie o tym wszystkim! — zwrócił się do imama.

— Bóg tak chce — powiedział sentencjonalnie, jak zwykle zresztą małomówny, imam Ali Mohamed Mucha.

— A niech was wszyscy diabli! — zawołał zupełnie już zdesperowany sekretarz. — Ładnegoś nam bigosu nawarzył, Igorze Iwanowiczu!

Ale Igor Iwanowicz — oczywiście — nie słyszał tego wszystkiego, bowiem już czwarty dzień latał ptakiem nad naszym miasteczkiem.

(cdn.)

Z ziemi obcej do Polski

Dokończenie ze str. 5

centralnym, przedzierając się ze swymi oddziałami przez front pod Racańczą. W Rosji dowodził II Korpusem Polskim, a po jego likwidacji pełnił przez krótki czas funkcję dowódcy istniejących tam formacji polskich. Na stanowisko naczelnego wodza Armii Polskiej we Francji był właściwie jedynym liczącym się kandydatem. Decydowały o tym nie tyle zasługi bojowe, bowiem większymi formacjami dowodził krótko i bez większych sukcesów, ile orientacja polityczna, którą reprezentował, i potrzeba chwili. Dowódcą Armii Polskiej we Francji został na miesiąc przed zakończeniem działań wojennych i w sytuacji, gdy wojska polskie nie brały bezpośredniego udziału w boju. Ważne było to, iż formacje polskie miały polskiego dowódcę. Była to wymowa niejako symboliczna.

Zawieszenie broni nie wstrzymało dalszych prac nad organizacją Armii Polskiej. Zakładano, iż niepodległa Polska potrzebowała będzie silnej i dobrze wyposażonej armii. Ponieważ rekrutacja w Stanach Zjednoczonych pod koniec 1918 r. przyniosła niewielkie efekty, a napływ ochotników z innych krajów Europy i Ameryki był nieznaczny, podstawową bazę dla rekrutacji stanowili Polacy — jeńcy, byli żołnierze armii niemieckiej i austro-węgierskiej. Na podstawie porozumień z władzami włoskimi udało się z wziętych do niewoli na froncie włoskim Polaków sformować i wysłać do Francji jednostki wojskowe liczące tysiąc oficerów oraz 37 tysięcy podoficerów i żołnierzy. Stworzyło to możliwość sformowania, jeszcze przed wyjazdem Hallerczyków do Polski, kolejnych dywizji. W rezultacie wojsko polskie we Francji składało się z trzech dywizji, tworzących tzw. Pierwszy Korpus.

Mimo nasilonej propagandy liczba ochotników ze Stanów Zjednoczonych zmniejszała się. W listopadzie 1918 r. zaczęto likwidować centra rekrutacyjne. Ostatnie większe transporty ochotników odjechały do obozu w Niagara-on-the-Lake 2, 3 oraz 16 grudnia 1918 r. z Chicago (łącznie 583 osoby).

W styczniu 1919 r. ukazało się rozporządzenie naczelnego dowództwa Armii Polskiej we Francji zamykające z dniem 15 lutego rekrutację do wojska polskiego na terenie Stanów Zjednoczonych. Informację tę ogłoszono powszechnie w prasie polonijnej. Spodziewano się, iż pod wpływem tej informacji napływ ochotników zwiększy się — że podejmą decyzję zgłoszenia wszyscy, który do tej pory jeszcze się wahali. Wyrażano obawy, czy centra rekrutacyjne podołają w przyjmowaniu i organizowaniu transportów ochotników.

Wzmogła się moralna presja ze strony prasy i organizacji. „Dziennik Chicagowski" groził zamieszczaniem na swych łamach „listy tchórzy" — osób uchylających się od wstępowania do Armii Polskiej. Młodym Polakom, którzy zapisali się już do wojska i czekali na transport, bądź też nie podlegali z przyczyn niezależnych od siebie służbie wojskowej, zalecano noszenie specjalnych odznak, by w ten sposób łatwiej odróżnić na ulicy osoby uchylające się od wojska. Propagowano bojkot towarzyski takich osób, zwłaszcza przez dziewczęta. W Związku Sokołów Polskich obowiązywała uchwała przyjęta na XII Walnym Zjeździe w Wilkes Bare, Pa. (1—3 IX 1918), stwierdzająca, iż „każdy członek Związku Sokołów, nie mający obowiązków rodzinnych i nie będący obywatelem Stanów Zjednoczonych, jest obowiązany wstąpić do Armii Polskiej w przeciągu najdalej trzech miesięcy, w przeciwnym razie ma opuścić szeregi Sokolswa".

Nadzieje okazały się płonne. Oficer rekrutacyjny w Toledo w stanie Ohio, gdzie zamieszkiwała liczna Polonia, raportował 22 stycznia 1919 r. do Komisji Wojskowej.

„Po daniu do wiadomości publicznej o zamknięciu rekrutacji, nie zgłosił się jeszcze żaden ochotnik. [...] Moja opinia jest [taka], że zamknięcie rekrutacji nie pociągnie za sobą wielu ochotników, powodem tego są przesadne wieści z Polski o walkach z Ukraińcami i bolszewikami. Pomimo tego, że są wielkie rzesze takich ludzi, co mają zamiar powrócić do Polski, lecz wolą oni na własny koszt jechać do kraju po zaprowadzeniu tam porządku. Jedynie ostatni tydzień może przysporzyć napływ ochotnika, bo są tam tacy, co będą liczyli na darmowy przejazd do Polski, a wiedząc o terminie zamknięcia rekrutacji, będą się ociągać z wstępowaniem do Armii do ostatniej chwili".

Spodziewanej fali ochotników rzeczywiście nie było. W dniu 11 marca 1919 r. ostatni żołnierze opuścili obóz Niagara-on-the-Lake, przez który przeszli prawie wszyscy ochotnicy (za wyjątkiem niewielkiej grupy, która jako pierwsza skierowana została do szkoły oficerskiej w Toronto).

Bilans rekrutacji na terenie Stanów Zjednoczonych przedstawiał się następująco. Zgłosiło się 22 395 osób (z tego 221 z terytorium Kanady). Spośród nich do Francji odjechało 20 720. Z pozostałych zwolniono 1004 z powodu stanu zdrowia, 129 — ze względu na pozostawione bez środków do utrzymania rodziny, 91 odesłano z innych powodów (głównie kwalifikacji do armii amerykańskiej), 212 okazało się deserterami (sic!), a 41 zmarło w obozie.

W stosunku do liczebności Polonii amerykańskiej, ocenianej w tym czasie na około 3,5 mln osób, nie było to wiele. Czy świadczyło to o braku patriotyzmu ze strony wychodźstwa?

Aby odpowiedzieć na owo pytanie, należy zdać sobie sprawę z tego, iż w latach 1917—1918 od 200 do 300 tys. Polaków wstąpiło do armii amerykańskiej. Rekrutacja do tej armii rozpoczęła się wcześniej aniżeli do polskiej. W pierwszym okresie rekrutacji do armii amerykańskiej wstępowali do niej ochotnicy polscy nie mający obywatelstwa amerykańskiego, a więc ci, którzy znaleźliby się prawdopodobnie w armii polskiej, gdyby utworzono ją kilka miesięcy wcześniej. A była to grupa licząca kilkadziesiąt tysięcy osób.

Żołnierze polskiego pochodzenia stanowili około 10 proc. stanu armii amerykańskiej w Europie, trzykrotnie więcej, aniżeli wynikałoby to z liczebności polskiej grupy etnicznej w Stanach Zjednoczonych. Nie tylko lojalność wobec nowej ojczyzny czy chęć przygód sprawiła, iż tak licznie wstępowali do armii. Był to głównie wyraz patriotyzmu, efekt prowadzonej z ożywieniem, zwłaszcza w poprzednich dziesięciu latach, pracy narodowej wśród wychodźstwa, kształtującej umysły i postawy młodego pokolenia imigrantów. Z 10 369 żołnierzy polskich wywodzących się z Chicago, a walczących w Europie, 7 803 znajdowało się w armii amerykańskiej, a 2 566 w Armii Polskiej. Przy czym ta, i tak korzystna dla Armii Polskiej, proporcja była uwarunkowana tym, iż Chicago stanowiło centrum polskości i pracy narodowo-patriotycznej wychodźstwa. Przypomnijmy, że aż do czerwca 1918 r., tzn. podjęcia wspomnianej uchwały Kongresu, wstępujący do wojska ochotnicy nie mieli gwarancji, iż zostaną wpuszczeni z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Tym lepiej to świadczy o ich patriotyzmie.

Zestawiwszy ogólną liczbę żołnierzy-Polaków, służących w formacjach amerykańskich i polskich, dochodzimy do przekonania, iż czyn zbrojny wychodźstwa polskiego w Ameryce zasługuje na wysoką ocenę. Znaczne zmniejszenie się liczby ochotników do Armii Polskiej w czwartym kwartale 1918 r. i początkach 1919 r. wynikało z faktu iż ci, którzy zdecydowani byli wstąpić do wojska, uczynili to wcześniej. Pozostali ci, którzy z różnych przyczyn (zdrowotnych, rodzinnych) uczynić tego nie mogli bądź też przedkładali korzyści, płynące ze zwiększonych w wyniku koniunktury wojennej zarobków, nad poczucie patriotycznego obowiązku. Istotny wpływ na osłabienie rekrutacji miało także zawieszenie broni 11 listopada 1918 r. Koniec wojny, przy jednoznacznych deklaracjach aliantów co do odbudowy niepodległej Polski, spowodował, iż cel, dla jakiego podejmowano wysiłek zbrojny, uznany został za osiągnięty. Walka o utrwalenie granic Polski nie wywoływała już takich reakcji emocjonalnych jak sprawa niepodległości, stąd też chętnych do uczestnictwa w tej walce było mniej. Nie bez znaczenia wydaje się też rozbicie polityczne wychodźstwa polskiego w Ameryce i propaganda przeciwników rekrutacji.

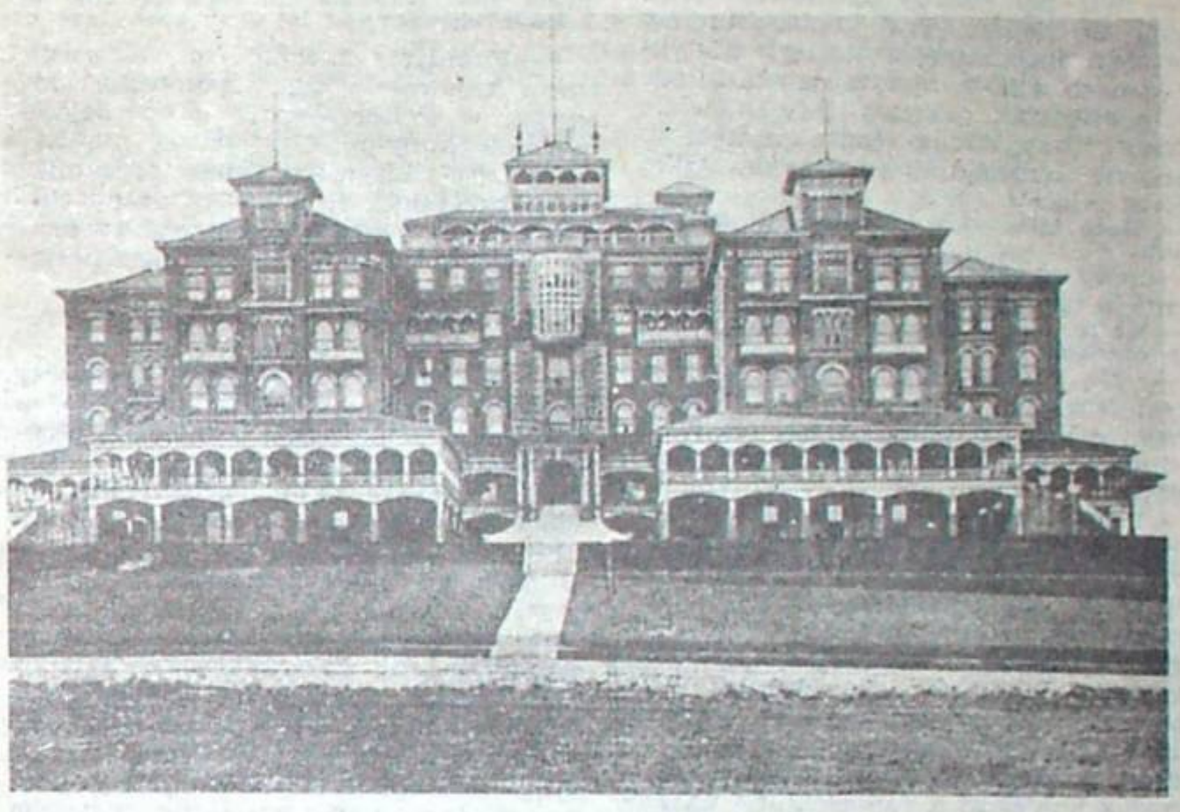

Budynek Kolegium Związku Narodowego w Cambridge Springs, w którym mieściła się szkoła podchorążych

Od kwietnia do czerwca 1919 r. trwała repatriacja Armii Polskiej z Francji do Polski. O ile samo zagadnienie konieczności przewiezienia wojska nie budziło wątpliwości przedstawicieli mocarstw sorzymierzonych, o tyle zrodziły się liczne kontrowersje co do wyboru drogi transportu oraz celów, do jakich wojsko to mogłoby być użyte w kraju. Mimo pierwotnych ustaleń co do możliwości przewozu Hallerczyków przez Gdańsk (o czym stanowił art. XVI Układu Rozejmowego) — wobec protestu Niemiec i przy poparciu stanowiska niemieckiego przez Lloyd George'a — wybrano drogę lądową, linią kolejową poprzez Niemcy.

Bezpośrednio po przybyciu do kraju wojska te skierowano w rejon walk z oddziałami ukraińskimi na wschodzie. Już w trakcie walk, w sierpniu 1919 r., nastąpiła reorganizacja wojsk Hallera, połączona z unifikacją z jednostkami formowanymi w kraju. Poza oddziałami skierowanymi przez Naczelnego Wodza w rejon granicy ze Śląskiem, część jednostek przybyłych z Francji walczyła jako 13 Dywizja Piechoty na froncie wschodnim, początkowo z ukraińskimi oddziałami atamana Petlury, a następnie z Armią Czerwoną, biorąc udział w wyprawie kijowskiej, walkach odwrotowych i bitwie warszawskiej. W tych ostatnich kampaniach, prowadzonych w 1920 r., większość przybyłych ze Stanów Zjednoczonych hallerczyków nie brała już udziału ze względu na prowadzoną w stosunku do nich akcję demobilizacyjną.

Tadeusz Radzik

Ciągle szachujemy się z naturą

Dokończenie ze str. 1

wychowywałem się w atmosferze wojskowej, albowiem w samej rodzinie panowały stosunki i zwyczaje zdecydowanie cywilne. Nie, nie marzyłem o mundurze. Ja chciałem być sportowcem.

— Ale został pan lekarzem.

— Bo rodzice nie podzielali mojego entuzjazmu do studiów w Akademii Wychowania Fizycznego, który demonstrowałem podczas nauki w liceum zamojskim, gdzie w 1950 roku otrzymałem maturę. W tamtych trudnych powojennych czasach w cenie były zawody tyle konkretne, co uniwersalne, gwarantujące kawałek chleba w każdej sytuacji losowej: pospolitej, politycznej i historycznej. W rezultacie podjąłem studia w lubelskiej Akademii Medycznej, nie zaniedbując przecież sportu. Poza skokiem o tyczce uprawiałem chyba wszystkie konkurencje lekkoatletyczne, grając ponadto w siatkówkę — na luzie, dla osobistej przyjemności, powiedziałbym, że z radością.

— Były czasy! Dzisiaj, owszem, rodzice też pchają potomstwo na medycynę, nie gardząc przecież AWF-em. W końcu przeciętny kopacz piłki lub trener zarabia znacznie więcej niż profesor wyższej uczelni.

— Wie pan, wtedy sportowcy także mieli się dobrze. Pod koniec studiów zostałem instruktorem lekkiej atletyki w ramach AZS-u, otrzymując za to 600 zł miesięcznie, podczas gdy niewiele później, jako młody lekarz szpitala w Janowie Lubelskim, zarabiałem tylko 300 zł więcej.

— Może kilka słów o sukcesach sportowych...

— Czy warto? Przecież to były studenckie igraszki, nic nadto.

— Warto, dla przykładu, bo młodzież mamy cherlawą.

— No dobrze. Na I roku studiów wygrałem bieg narodowy na 1000 metrów, galopując polną drogą wąwozu, z którego po latach uformowano aleję PKWN.

— Pamięta pan nazwiska konkurentów?

— Dobrze biegał Michał Bokiniec.

— Obecnie towarzysz docent Bokiniec?

— Tak jest. Dalej: na halowych mistrzostwach Polski juniorów zdobyłem szóstą lokatę w trójskoku z miejsca, osiągając 9 metrów. Na tych samych zawodach biegał przez płotki Janusz Sidło, późniejszy rekordzista świata w rzucie oszczepem. Co tam jeszcze? Aha: wraz z kolegami z reprezentacji naszej uczelni w siatkówce wygrałem mistrzostwa Polski Akademii Medycznych w Krakowie, przywożąc do Lublina okazały puchar ministra zdrowia. No i jeszcze to, że rekord życiowy w skoku wzwyż ustanowiłem na wysokości 175 cm.

— Nieźle! Przecież przedwojenny, lecz aktualny jeszcze wtedy rekord Polski Pławczyka wynosił 196 cm. Ale czy w tym swoim roznamiętnieniu sportowym znajdował pan czas na działalność społeczną, uznawaną wszak wówczas za moralny i obywatelski obowiązek każdego studenta?

— Należałem do ZMP, ale co tu ukrywać: znacznie większą porcję własnej energii lokowałem w sporcie. Owszem, byłem wiceprzewodniczącym Rady Uczelnianej ZSP — niejako z urzędu, jako szef AZS-u w Akademii.

— A jak przebiegały pańskie studia?

— Raz powtarzałem egzamin — z czego? Z interny polowej, wojskowej! Do dziś budzi też wesołość w rodzinie fakt, że słynny profesor Feliks Skubiszewski wlepił mi „trójkę" z chirurgii, tak, z chirurgii, by kilka lat później, kiedy zdałem właśnie egzamin na I stopień specjalizacji w zakresie chirurgii, zaproponować Michalakowi pracę w II Klinice Chirurgicznej przy ul. Staszica, gdzie profesor panował do emerytury w 1965 roku.

— Z chwilą ukończenia studiów otrzymał pan zapewne nakaz pracy...

— ...do Janowa Lubelskiego, gdzie zjawiłem się w roku 1955, z niedawno poślubioną koleżanką z uczelni, Anną. Szpital tego sympatycznego miasta był jednak tak mały, że kiedy po czterech miesiącach nadarzyła się okazja, przenieśliśmy się do Tomaszowa Lubelskiego, gdzie znajdował się szpital na 500 łóżek, z czego 105 wypełniało oddział chirurgii.

— Dzieło doktora Janusza Petera, chirurga zresztą.

— To był niezwykły człowiek i znakomity lekarz. Wznoszenie szpitala zaczął od budynku na 20 łóżek, a potem kolejno otwierał następne pawilony, bo tylko w ten sposób, wedle partyzanckiej taktyki, mógł realizować swoje plany. Rozważnie też dobierał pracowników, wszystkie stanowiska pielęgniarek oddziałowych przekazując siostrom zakonnym, które skutecznie bronił przed zagrożeniem z zewnątrz. Wprowadził ponadto obowiązkowy, trzymiesięczny staż dla młodych lekarzy, obejmujący praktykę na internie, pediatrii i ginekologii. W rezultacie w szpitalu nigdy nie było wolnego łóżka. Ciągnęli tam pacjenci nie tylko z Tomaszowa i okolicy, ale również z sąsiednich powiatów: lubaczowskiego, zamojskiego, biłgorajskiego i hrubieszowskiego — by trafić pod opiekę zaledwie siedmiu lekarzy! Na chirurgii, gdzie zadomowiłem się po odbyciu wspomnianego stażu, było nas trzech: ordynator Antoni Wojtkowiak, bardzo dobry specjalista, i asystenci: ja oraz Władysław Madeja, który zresztą do dziś mieszka w Tomaszowie, kierując tym właśnie oddziałem, obsadzonym przez bodaj dziesięciu lekarzy.

— To było dawno, trzydzieści lat temu, kiedy nie znano choćby nici atraumatycznych...

— Ale były inne nici chirurgiczne.

— A bandaże, wata, lignina?

— Nie przypominam sobie, by brakowało nam materiałów opatrunkowych, środków farmakologicznych, narzędzi.

— Coś podobnego! Ale w jakim to zakresie funkcjonowała chirurgia szpitala na kresach wschodnich?

— Robiliśmy niemal to wszystko, czym zajmowała się współczesna chirurgia w Polsce, łącznie z operacjami ginekologicznymi. Oczywiście, nie dotykaliśmy naczyń, co jednak zrozumiałe wobec faktu, że pierwsze próby chirurgii tego rodzaju odnotowano w kraju dopiero u schyłku lat pięćdziesiątych.

— Ciekaw jestem, jak spędzał pan w Tomaszowie czas wolny od pracy.

— Wolny?! Typowy dzień roboczy rozpoczynałem wczesnym rankiem, a kończyłem o siódmej wieczorem. Pracowałem w szpitalu, przychodni, pogotowiu, a także jako lekarz szkolny i sportowy. Czy można jednak powiedzieć, że był to dzień typowy, skoro w miesiącu miałem ponadto 15 dyżurów w szpitalu i pogotowiu, co oznaczało zarwane noce? Warto przy tym wspomnieć, że podczas dyżuru szpitalnego, który trwał, jak obecnie, całą dobę, w zakres obowiązków lekarza wchodziły: chirurgia, położnictwo, laryngologia, ginekologia i okulistyka.

— Wierzę na słowo, wbrew protestom wyobraźni. A może ten „harmonogram" i dziś jest aktualny?

— Dziś jest to nie do pomyślenia.

— Dorabiało się do pensji, ludzka sprawa.

— Powiedziałbym, że dorabiało się po drodze konieczności społecznej. Obecnie w Tomaszowie pracuje ponad 25 lekarzy, a nas było wtedy siedmiu. My po prostu musieliśmy robić wszystko i być wszędzie, bo tego wymagała sytuacja. Wykonywaliśmy skomplikowane operacje, leczyliśmy skutki częstych na tym terenie wypadków drogowych i rolnych, bójek na noże i kłonice, upowszechnialiśmy zasady higieny, przekonywaliśmy rodziców, nie zawsze skutecznie, że kołtuny na głowach ich dzieci należy natychmiast wyciąć. Proszę pana, dla każdego z nas była to twarda, ale i bardzo pożyteczna szkoła.

— Jak długo pracował pan w Tomaszowie?

— Sześć lat, do jesieni 1961 roku, kiedy to przeniosłem się do lubelskiej kliniki profesora Skubiszewskiego. Ze wzruszeniem wspominam moment wręczenia mi przez doktora Petera pożegnalnego podarunku — w postaci książek jego autorstwa, zaopatrzonych w dedykacje. Peter był humanistą w dobrym, starym stylu, pasjonował się historią regionu i medycyny, pisał i publikował teksty o takiej tematyce, kolekcjonował dzieła sztuki, dokumenty i obiekty lokalnej kultury, by umieścić w końcu owe dobra w muzeum, które zorganizował na terenie szpitala. Rzetelny, wspomagający ludzi w trudnych dla nich chwilach, uczynny, na co dzień Peter sprawiał wrażenie człowieka oschłego, nawet szorstkiego. „Pani siostra wstąpiła do zakonu, bo jest niechluja i żaden chłop jej nie chciał" — oznajmił kiedyś dystyngowanej oddziałowej na internie, znalazłszy tam trochę brudu. Bałaganu nie cierpiał, w ogóle był pedantyczny: wszystkie swoje polecenia, uwagi czy napomnienia przekazywał pisemnie, na wąskich wstążkach papieru, które „pod wskazane adresy" roznosiła kancelistka w habicie. A jak ówczesny minister zdrowia odwiedził szpital tomaszowski, to nie on, lecz Peter wystąpił w roli nauczyciela.

— W Lublinie otwierała się przed panem nowa perspektywa: nauki.

— Co jednak nie znaczy, że oddaliłem się od sali operacyjnej. Próbowałem znaleźć jakieś sensowne wyjście z dylematu, który w naszym środowisku określa się formułą: „w chirurgii albo się operuje, albo jest się literatem". Uzyskałem II stopień specjalizacji, doktoryzowałem się (1967) pod kierunkiem profesora Mieczysława Zakrysia...

— Oryginalna postać, słynna w Lublinie!

— Znakomity chirurg.

— Już wtedy interesował się pan naczyniami?

— Nie, tematem doktoratu była choroba wrzodowa żołądka i dwunastnicy. Wkrótce przecież, w celu poszerzenia swoich umiejętności, zająłem się chirurgią naczyń, specjalnością efektowną i efektywną. Operuje się na przykład aortę i ona zaraz potem funkcjonuje, aż miło popatrzeć! A wszystko należy robić delikatnie; tutaj się nie wycina czy podcina, lecz najczęściej rekonstruuje. Operacje tego rodzaju wymagają większej precyzji, niż kardiochirurgia, serce bowiem jest duże i grube, można zeń szeroko wybierać — choćby w trakcie wymiany zastawek czy likwidacji tętniaków powstałych w obrębie owej pompy... Samodzielne operacje naczyniowe zacząłem wykonywać pod koniec lat sześćdziesiątych, a wkrótce potem przeniosłem się do powstałej właśnie (1971) Kliniki Chirurgii Naczyń, jednej z pierwszych w kraju, którą przez dziewięć kolejnych lat kierował docent Paweł Misiuna, obecnie profesor i szef innej kliniki.

— Zaliczył pan jakąś edukację specjalistyczną?

— Naturalnie. Szkoliłem się u profesorów: Jana Nielubowicza, twórcy chirurgii naczyń w Polsce, i Henryka Rykowskiego w Warszawie oraz w Centrum Chirurgii Klinicznej i Doświadczalnej Akademii Nauk ZSRR w Moskwie, którym kierował sam minister zdrowia, człowiek o niespożytej energii, Borys Wasilewicz Pietrowski.

Prof. Jerzy Michalak.
Fot. Cezary Krupa

Będąc szefem resortu, ten wysoki, potężny i niemłody już mężczyzna znajdował jeszcze czas — dwa dni w tygodniu — na operowanie i bezpośrednie doglądanie pracy Centrum, wyposażonego zresztą w aparaturę o najwyższych standardach światowych: amerykańską, szwedzką, japońską, przejętą niejako w spadku po byłym instytucie ministerialnym, który znajdował się w tym samym obiekcie.

— A ludzie, czy także reprezentowali wysoki poziom sprawności medycznej?

— Pietrowski potrafił dobierać sobie współpracowników. Zapamiętałem między innymi Szumakowa (który niedawno, z odpowiednią aparaturą w bagażach, odwiedził docenta Religę w Zabrzu), a szczególnie Marata Kniaziewa, bo właśnie on kierował oddziałem, gdzie odbywałem szkolenie wespół z licznymi kolegami z krajów socjalistycznych. Warto wiedzieć, że przez moskiewskie Centrum przechodzą setki a chyba i tysiące lekarzy z naszego obozu. Pietrowski nie tylko przecież dobierał sobie ludzi rokujących nadzieje, ale i dbał o ich rozwój. Kniaziewa, by opanował amerykańską angielszczynę, ulokował na stanowisku lekarza ambasady radzieckiej w Waszyngtonie, następnie skierował go na roczne stypendium w Houston, gdzie specjalizował się w chirurgii naczyń, a zaraz potem zrobił młodego lekarza ordynatorem oddziału w Centrum. Niestety, tę świetną karierę przerwała śmierć w przypadkowych okolicznościach: Kniaziew zginął pod kołami jadącej ulicą ciężarówki.

— Jak rok temu profesor Tadeusz Mencel z UMCS... Czy po 33 latach pracy może pan powiedzieć, że oswoił się ze śmiercią?

— Trudno oswoić się ze śmiercią, nawet lekarzowi. A jeśli umrze pacjent, którego się operowało, zawsze ma się poczucie osobistej porażki i winy, choć przecież niby wiadomo, że biologia to nie matematyka, kryje jeszcze wiele tajemnic. Wbrew potocznym mniemaniom, podsycanym przez spektakularne „sukcesy" inżynierii genetycznej, jestem zdania, że upłynie wiele dziesiątków, a może setek lat, nim dobrze poznamy strukturę i mechanizmy ludzkiego organizmu.

— Wspomniał pan na początku naszej rozmowy, że w klinice leczycie między innymi miejscowe skutki miażdżycy. Miejscowe, a zatem gdzie zlokalizowane?

— Różnie i z medycznego punktu widzenia jest to bardzo ciekawe. Najczęściej jednak miażdżyca występuje w aorcie brzusznej oraz w tętnicach: biodrowych i udowych, powodując niedokrwienie kończyn dolnych czy tętniaki, albo wszystko naraz. Program leczenia w klinice jest oczywiście szerszy, obejmuje zmiany miażdżycowe w tętnicach kończyn i szyi, w naczyniach trzewnych i nerkowych, ponadto chorobę Bürgera, ostre niedokrwienia (skrzepy) oraz urazy naczyń (wskutek załamania kości itp.).

— Macam nogi, szyję, brzuch, nerki — wszędzie może być miażdżyca! Wstyd jednak przyznać, ale tak dokładnie, to ja nie wiem, co to jest za świństwo!

— Choroba, a nie świństwo... Jeśli elementy ścian tętnicy ulegają zwyrodnieniu, włóknieją i wapnieją, a na tym osadzają się zakrzepy, to wtedy mamy do czynienia z miażdżycą. Naczynia stają się niedrożne, zatykają się w końcu, zakłócony czy zahamowany przepływ krwi powoduje martwicę tkanek. Na tym samym podłożu powstają workowate tętniaki.

— Panie profesorze, dlaczego mówi pan tylko o tętnicach? A co z żyłami?

— Bo w żyłach miażdżyca nie występuje. Miażdżyca to podobno kara, jaka dotknęła człowieka za to, że posiada tętniący przepływ krwi. Albo żylaki: nie mielibyśmy ich, gdybyśmy chodzili na czterech łapach, jak zwierzęta, które są wolne od tej przypadłości. Pionowa pozycja człowieka zwiększyła nadmiernie ciśnienie hydrostatyczne w jego organizmie, no i zaplątaliśmy się w żylakach.

— Miażdżyca to przecież skutek, jak mówią, wilczego apetytu na tłuste potrawy i czegoś tam jeszcze równie przyjemnego.

— Poznano dotąd kilka czynników zagrożenia miażdżycą: nadciśnienie, zwiększony poziom ciał tłuszczowych (głównie cholesterolu) we krwi, palenie tytoniu, cukrzyca, nadmierna otyłość, stresy. Jeśli kilka takich czynników pojawi się naraz, możliwość zachorowania na miażdżycę rośnie w postępie geometrycznym.

— Pali pan?

— Nie, poza kilkoma sztubackimi „dymkami", to właściwie nigdy nie paliłem.

— Bunuel wręcz smakował papierosy do końca dni swoich, hestor naszych ekonomistów, profesor Bobrowski, kurzy dotąd niczym parowóz...

— Reguła jest jedna, sprawdzona, niepodważalna: palenie tytoniu szkodzi zdrowiu. Ale jak ktoś ma ochotę na miażdżycę czy zawał...

— Powiedzmy, że naczynia moich nóg zaczynają być niedrożne, krew wiruje w nich, zamiast płynąć liniowo. Jak ja to będę odczuwał?

— Najpierw pojawi się chromanie przestankowe, związane na przykład z bólem w mięśniach łydek. Jeśli niedokrwienie kończyn zwiększy się, wystąpią bóle spoczynkowe, szczególnie w stopie i palcach, nie powodowane żadnym wysiłkiem. W końcu na nodze wyrosną owrzodzenia i zgorzel, znaki martwicy.

— W jaki sposób usuwa się niedrożność tętnic, kiedy to jeszcze można zrobić?

— Stalowymi drutami o długości około 35 cm, zakończonymi — proszę spojrzeć — taką pętelką. To narzędzie wprowadza się do tętnicy, przepycha wężowym ruchem, oddzielając zmianę miażdżycową od zdrowej warstwy naczynia.

— A na czym polegają rekonstrukcje, o których także wspomniał pan na wstępie rozmowy?

— Na zastępowaniu uszkodzonych odcinków naczyń protezami z tworzywa sztucznego, produkowanymi zresztą w Łodzi i posiadającymi dobre właściwości. Ich średnica waha się od 3 do

24 mm, długość również jest zróżnicowana, sięgając kilkudziesięciu centymetrów.

— I z taką rurą w brzuchu można żyć?

— Można, protezy są nie do zdarcia. Zszywane „na okrętkę" z naturalnymi naczyniami, przyjmują w swoje dziur- [illegible] się otoczenia i funkcjonują jak należy. Do rekonstrukcji nie nadają się tylko naczynia zupełnie małe, o milimetrowych przekrojach. W ogóle wygodniej i skuteczniej operuje się naczynia o większych średnicach.

— Macie dobre protezy, możliwość korzystania z nowoczesnych aparatów diagnostycznych, takich jak ultrasonograf i tomograf komputerowy...

— ...a od niedawna dysponujemy też bardzo przydatnym ultradźwiękowym przepływomierzem krwi, wyprodukowanym w kraju.

— Coraz lepiej! A ligninę macie?

— Brakuje, podobnie jak kontrastu do diagnostyki rentgenowskiej, którego produkcja zaspokaja jedną trzecią potrzeb.

— Dotykamy problematyki poprawnego myślenia i racjonalnego działania w makroskali, co zachęca do zwrócenia uwagi na okolice głowy. Jakie mogą być skutki miażdżycy naczyń szyjnych?

— Udary mózgu, potocznie i nietrafnie zwane wylewami, które owszem, zdarzają się, lecz bardzo rzadko. Zwykle też mocniej eksponuje się zawały serca, podczas gdy wspomniane udary są równie częste. Ad rem: miażdżyca tętnic szyjnych prowadzi albo do ich zwężenia, albo do zatkania, co w obu przypadkach powoduje wytworzenie się skrzepów, których urywki kierują się do mózgu. W rezultacie te jego części, które pozbawione zostały odpowiedniej porcji krwi, obumierają. Tak powstaje udar mózgu.

— Jak objawia się miażdżyca naczyń szyjnych, jeszcze przed udarem?

— Odczuwa się zawroty głowy, podwójne widzenie, okresowo traci się przytomność. Podobne dolegliwości występują też przy mikroudarach.

— Leczenie...

— Operacyjne, bardzo zresztą trudne, bo do pewnego fragmentu tetnicy szyjnej w ogóle nie ma dostępu. Powinienem jednak podkreślić, że nie leczymy udarów, lecz im zapobiegamy. Jeśli w porę zgłosi się do kliniki, możemy człowieka uchronić przed pierwszym udarem, ale przed następnymi również. Nie oszukujmy się jednak: w każdą operację chirurgiczną wpisany jest współczynnik ryzyka i jakaś tam niewiadoma. Choroba to potężny przeciwnik i nie ma lekarza odnoszącego same sukcesy. Statystycznie rzecz biorąc, mogę jednak stwierdzić, że nasza klinika posiada dobre wyniki w leczeniu skutków miażdżycy.

— Od jak dawna operujecie tętnice szyjne?

— Właśnie: to nowy dział w programie kliniki. Inna sprawa, że w tej materii ubiegliśmy chyba inne ośrodki krajowe, gdzie obserwuje się nawet pewną rezerwę wobec postawionych tu kwestii.

— Z kolei choroba Bürgera...

— To nie jest miażdżyca! Medycyna nie rozpoznała jeszcze dokładniej natury tej choroby, strasznej i z tego względu, że atakuje ludzi młodych, przed trzydziestką. Może jest ona skutkiem autoagresji organizmu, może czegoś innego... Wiemy, że występuje w formie zmian zapalnych, obejmujących tętnice, sąsiednie żyły i nerwy, czyli tak zwany pęczek naczyniowo-nerwowy: w kończynach górnych i dolnych.

— Na Bürgera, w 39 roku życia, zmarł wybitny malarz, Zygmunt Waliszewski...

— Z lekarskiego punktu widzenia nieszczęście polega i na tym, że choroba umiejscawia się w naczyniach małych, których nie można rekonstruować, a kiedy przywróci się im drożność, wkrótce, pod wpływem stanu zapalnego, zamykają się ponownie.

— Nie ma ratunku?

— Jest; w wielu przypadkach osiągamy nawet dobre „wyniki odległe", przeprowadzając operacje na układzie nerwowym współczulnym, który „każe" naczyniom kurczyć się. Jesteśmy jednak bezradni, kiedy pojawi się martwica. Zdarza się, że trzeba amputować wszystkie kończyny... Pomyślne skutki walki z tą chorobą w poważnym stopniu zależą od dyscypliny pacjenta, który powinien skrupulatnie spełniać zalecenia lekarza, całkowicie przy tym rezygnując z palenia tytoniu. Może warto wiedzieć, że częstotliwość występowania choroby Bürgera w stosunku do miażdżycy ma się tak, jak 1:9.

— Kto częściej zapada na miażdżycę: mężczyźni czy kobiety?

— Mężczyźni, którzy stanowią aż 80—90 procent liczby chorych. Kobieca część naszej kliniki ma tylko pięć łóżek. Jeśli natomiast spojrzymy na problem w perspektywie socjologicznej, to nie znajdziemy tu prawidłowości. Pacjenci pochodzą z różnych środowisk społecznych i zawodowych, są wśród nich pracownicy fizyczni i umysłowi. Znaczną grupę stanowią rolnicy, wszak ludzie intensywnie pracujących na wolnym powietrzu. Inna sprawa, że wiejski jadłospis zawiera dużo tłuszczów zwierzęcych. Zwróćmy jeszcze uwagę, że miażdżyca przestaje być domeną osób starszych, jej klinieczne przypadki spotykamy już u pacjentów, którzy nie przekroczyli 40 roku życia.

— Cóż, czasy mamy nerwowe, środowisko naturalne skażone, z konieczności odżywiamy się nieracjonalnie, choć i prawdą jest, że z tradycji lubimy jeść tłusto i słodko. Medycyna zna przecież sposoby na obniżenie poziomu cholesterolu we krwi.

— Nawet o 40 procent. W polu bacznej uwagi naszej kliniki od lat pozostaje hiperlipidemia, czyli nadmierne stężenie związków tłuszczowych we krwi. Habilitowałem się zresztą z tej problematyki, w ramach naukowej współpracy chirurgii naczyń z Zakładem Patofizjologii Akademii Rolniczej, którym kieruje profesor Adam Kądziołka. To współdziałanie owocuje licznymi publikacjami, ostatnio nasze prace ukazały się w Holandii i USA. Nie jest to moja indywidualna sprawa, więc wspomnę bez żenady, że z tego pierwszego kraju otrzymaliśmy 280 kartek z prośbą o nadbitki. Amerykanie też się odezwali.

— Mówi się że poziom cholesterolu można obniżyć lekami i odpowiednią dietą.

— Tak, ale również drogą operacyjną, przez wyłączenie odcinka jelita cienkiego. W rezultacie część kwasów żółciowych, niosących pożywienie i wchłanianych także przez to jelito, zostaje wydalona poza organizm. A wyłączyć można kawałeczek, tyle, ile trzeba, bo nadmierny „rozmach" powoduje uszkodzenie wątroby. Ciągle szachujemy się z naturą... Do takich operacji kwalifikujemy pacjentów, którzy z wyroków genetyki mają podwyższony poziom cholesterolu.

— Co mówi statystyka o śmiertelnych skutkach miażdżycy?

— Około 50 procent ogółu zgonów w Polsce spowodowanych jest miażdżycą. W krajowej hierarchii przyczyn zgonów choroba ta zajmuje pierwsze miejsce, przed nowotworami i urazami. Istnieje więc pilna potrzeba opracowania programu zapobiegania miażdżycy.

— Ilu lekarzy posiada Klinika Chirurgii Naczyń?

— Dwunastu, przy czym od początku jej istnienia pracują tutaj adiunkci: Franciszek Brakowiecki, Andrzej Madejczyk i Tadeusz Olewiński. Nieco później doszedł Wojciech Kobusiewicz.

— A ile macie łóżek, nie licząc tych, które stoją na korytarzu?

— Za mało: 35. Pracujemy przecież w warunkach znakomicie lepszych od tych, jakie mieliśmy w szpitalu klinicznym przy ul. Staszica, skąd wyprowadziliśmy się kilka miesięcy temu.

— Z jakich terenów pochodzą wasi pacjenci?

— Obsługujemy następujące województwa: lubelskie, białskopodlaskie, chełmskie, zamojskie, radomskie, północne rejony tarnobrzeskiego oraz przemyskie i krośnieńskie, albowiem w bliższym nich Krakowie nie ma chirurgii naczyń. W ciągu roku przeprowadzamy średnio 600 operacji na miejscu i 100 w terenie.

— Ciekawi, ile razy pan operował. W ogóle, w sumie.

— Chwileczkę... Blisko 7000.

— Są takie spektakularne operacje, jak przyszycie odciętej dłoni...

— W klinice robiliśmy to kilkakrotnie i z dobrym skutkiem. Od czasu do czasu wykonujemy też inne operacje, niejako poza zasadniczym programem: żołądka, pęcherzyka żółciowego. Nieobce jest nam chirurgiczne leczenie nadmiernej otyłości.

— Ośmielam się podsunąć jeszcze jeden przypadek, może banalny, lecz wymagający chyba natychmiastowej operacji. Nazywa się służba zdrowia.

— To trudny problem, przekraczający możliwości samej medycyny. Służba zdrowia cierpi bowiem na niedrożność tętnic organizacyjnych.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Ireneusz J. Kamiński

I etap myślenia

Dlaczego Janusz W. przegrał wybory?

JEŻELI chodzi o Lublin, to walka wyborcza najgłośniejsza była na LSM-ie. Ale zacznijmy od początku.

Tydzień przed wyborami, a dokładnie 11 czerwca, usłyszałem w trolejbusie, że na ulicy Wallenroda zorganizowano kiermasz, gdzie sprzedają farbę emulsyjną. Towar to szczególnie atrakcyjny i poszukiwany, toteż zacząłem podejrzewać, że — skoro „rzucili" emulsję — 11 czerwca też jest dniem szczególnym. Ale z niczym ta data mi się nie kojarzyła. Dopiero po dłuższej chwili domyśliłem się, iż 11 czerwca to dzień wyjątkowy nie dlatego, że kiedyś coś się wydarzyło ważnego w tym dniu, ale dlatego, że dopiero się wydarzy.

Pani, która w trolejbusie podzieliła się z pasażerami wiadomością o farbie, ochoczo rozwijała wątek. Otóż farby szukała od miesięcy, na wiosnę planowała remont mieszkania, lecz niezmiennie w każdym sklepie słyszała, że emulsji nie ma i nie wiadomo, kiedy będzie. I oto wczoraj, czyli w piątek, dowiedziała się na Bronowicach, że chociaż farby nie ma, to... właściwie jest. To znaczy jest w sklepie, ale nie wolno jej sprzedawać, albowiem zostanie zawieziona w sobotę na kiermasz przy ulicy Wallenroda na LSM. Uznałem to za jakiś idiotyzm, ale nich tam, nie pierwszy u nas i nie ostatni.

Nie znam dobrze LSM-u, lecz na kiermasz nie było mi trudno trafić. Kiedy tylko wysiadłem z trolejbusu, moje uszy zaatakowało dudnienie megafonów. Jeszcze nie rozróżniałem słów, ale kierunek złapałem dobry. Po dziesięciu minutach byłem na miejscu, by stwierdzić, że oprócz emulsji sprzedają następujące rzadkie towary: bezbarwny lakier do drewna (ostatnio widziałem w sklepie 4 lata temu) oraz kanistry na benzynę (przez 11 lat, jak posiadam samochód, nie widziałem w sklepie ani razu).

Jako dodatek do farb i kanistrów występowali na scenie trzej panowie. Byli to kandydaci na radnych, którzy swoimi nazwiskami firmowali ten handel. Ryk megafonów rozlegał się tak nieznośny, że myślałem tylko o jednym: jak najprędzej kupić kanister i uciec z tego miejsca. Podobnego zdania byli też pozostali klienci, bo nie zauważyłem, żeby ktoś, kto dokonał już zakupów, przystawał pod sceną z kandydatami.

Ale najbiedniejsi byli mieszkańcy okolicznych (w promieniu około kilometra) domów, którzy musieli słuchać tego potwornego hałasu przez całe sześć godzin. Jak znam życie, na pewno nikt ich nie pytał, czy życzą sobie, by zakłócano im spokój. Administracja osiedla wydała pewnie zgodę bez zastanowienia, ponieważ przyjęło się u nas, że zwykłego obywatela można lekceważyć.

Francuzi powiadają: człowiek to styl, i to prawda, ponieważ po tym, jak dana osoba przedstawia swoje racje, można wnioskować o jej sposobie myślenia o świecie i ludziach. Otóż mój punkt widzenia jest następujący. Kandydaci na radnych przedstawili się jak najgorzej.

Po pierwsze, łącząc propagandę wyborów ze sprzedażą bardzo deficytowych towarów, dali swoją zgodę na patologię naszego systemu gospodarczego. Przetrzymywanie towarów, aby „rzucić" je z jakiejś ważnej (zdaniem decydentów) okazji, nie jest może spekulacją, chociaż gdyby się dobrze zastanowić, można to i tak nazwać. W każdym razie nasi kandydaci, naśladując zachodni styl, potwierdzili zarazem, że swój program wyborczy traktują jako towar. Szczególnego rodzaju, to prawda, ale zawsze towar, który może uda się wcisnąć klientom w ramach sprzedaży wiązanej. Bo tak: przyjdziesz mnie posłuchać, to kupisz farbę, za którą ganiałeś bezskutecznie pół roku. Nie przyjdziesz — farby nie kupisz.

Po drugie, zakłócając spokój mieszkańcom osiedla (nazwijmy rzecz po imieniu), kandydaci dowiedli nie tylko braku kultury, ale braku szacunku dla ludzi, w których imieniu chcieli zasiadać w Miejskiej Radzie Narodowej. A rzecz to poważna, ponieważ ktoś, kto mnie nie szanuje, na pewno nie dorósł do tego, aby być politycznym rzecznikiem moich interesów.

Ten styl kampanii wyborczej, niby nowy w swoim zewnętrznym kształcie, okazał się w istocie stylem bardzo ogranym, zużytym, a nawet więcej — niechcianym. Wynikał on bowiem z dwóch rzeczy, których polskie społeczeństwo ma już naprawdę dosyć: traktowania jako normalne tego, co jest patologią, oraz braku szacunku dla ludzi i uważania ich za głupców. Tym samym kandydat na polityka sam sobie wystawił ocenę niedostateczną.

Jeżeli ktoś w Polsce ma jeszcze złudzenia, że kupi społeczeństwo za pomocą kiełbasy wyborczej, dowodzi, że nie zna dalszej i bliższej historii swojego kraju ani ludzi, o których przychylność zabiega. I choćby był nie wiem kim, dyskwalifikuje go to jako człowieka, do którego politycznych i społecznych kompetencji można by mieć zaufanie.

Historia ta ma ciąg dalszy, a i czytelnik chce już pewnie wiedzieć, dlaczego kandydat Janusz W. przegrał wybory. Otóż następnego dnia po owym jarmarku, czyli w niedzielę, zostałem nagle wyrwany ze snu przez coś, co określiłem zrazu jako łomot, dudnienie i huczenie. Spojrzałem na zegarek, była godzina 8.10. Wyszedłem na balkon i po drugiej stronie wąwozu (mieszkam bowiem na Czubach) wypatrzyłem sprawcę tego hałasu. To kandydat na radnego Janusz W. (a jakże, przedstawił się) jechał w radiowozie wolniutko między blokami osiedla im. Konopnickiej i zachęcał ludzi, aby przyszli na kolejny jarmark. A jak zachęcał przez równe 40 minut? Ano znowu za pomocą kiełbasy wyborczej. Wyliczył sporą listę towarów, które będzie można tam kupić, natomiast ani słowa nie powiedział o swoim programie.

Anglicy, którzy demokracji nie muszą się od nikogo uczyć, mają następujące powiedzenie: my home is my castle, co znaczy „mój dom jest moim zamkiem". Nie chodzi tu wszak o jakość budownictwa mieszkaniowego, ale codzienną kulturę życia. Nie wiem, jak inni, ale ja nie zamawiałem u ob. Janusza W. rannego budzenia, kanister kupiłem sobie wczoraj, poszedłem późno spać i miałem pełne prawo oczekiwać, że nikt mnie, wbrew mojej woli, nie wyrwie ze snu, aby informować o sprawach, które mnie w ogóle nie obchodzą.

Widocznie nie tylko ja tak osądziłem Janusza W. (w soboty zazwyczaj późno kładą się spać rodacy), który nieproszony pchał się na siłę i z hałasem do mego domu. Janusz W. przegrał bowiem wybory.

Tym razem rzecz poszła zapewne nie o kiełbasę, ale elementarny brak kultury. Powiada się często, że z kulturą polityczną jest w Polsce nietęgo i wiele musimy się w tej mierze nauczyć. To prawda i jeszcze raz prawda. Zacznijmy jednak tę naukę od kultury zwykłej, codziennej. Po prostu nauczmy się najpierw grzeczności i szacunku dla bliźniego, bo tam, gdzie nie ma kultury bycia, nie może być mowy o kulturze politycznej.

Ale najsmakowitszy kąsek jeszcze przed nami. Tego samego ranka, o czym dowiedziałem się z I programu radia, odbywał się festyn wyborczy w mieście Wysokie Mazowieckie. Tamtejsze władze administracyjne poszły już na całego. Żadne tam farby, lakiery czy kanistry! Najprawdziwsza kiełbasa wyborcza, czyli — jak powiedział do mikrofonu naczelnik miasta i gminy — „świetne kabanosy", których na co dzień nie ma w tamtejszych sklepach, ponieważ cała produkcja miejscowej masarni idzie na eksport. Nie wiem, jaka była frekwencja wyborcza w Wysokiem Mazowieckiem, ale przypuszczam, że równie niewielka jak w Lublinie.

A zatem, drodzy kandydaci do reprezentowania moich interesów, nie tędy droga! Pozostaje mi tylko nadzieja, że ta pierwsza od wielu lat lekcja prawdziwej walki wyborczej czegoś was nauczyła.

AWP

Bez klaki

Komuś bije dzwon

TAKIE historie są nieśmiertelne: o Kopciuszku, którego salonowe predyspozycje wcześniej czy później znajdują ujście na okolicznych balach i utwierdzają się korzystnym mariażem; o amerykańskim pucybucie, zostającym milionerem; o białej niewolnicy, która kiedyś i tak swojego szczęścia dochodzi; o tkliwym pojednaniu matki z przeszłością i córki po przejściach... Ale można je wszystkie między bajki włożyć.

Bo naprawdę to w życiu bywa inaczej. Na przykład jest przyjęcie w domu znanego chirurga, w którym uczestniczy nie mniej znany reżyser. I już ta prosta sytuacja kryje ogrom dramatu ludzkiej egzystencji. No bo tak, reżyser wyraźnie nie lubi pana domu, a gospodyni, którą jest żona lekarza, nawet nie rozpoznaje. Doktorowa też się nie domyśla, kim jest prestiżowy gość. Cóż z tego wynika? Ano — żona kura domowa, mąż tyran, bo nawet listy zaproszonych jej nie przedstawił, nie mówiąc o wstępnej konsultacji, a późniejszej prezentacji osobistej. Na dodatek wszyscy wyraźnie się nudzą — przyszli w imię robienia układów w mieście. W tej sytuacji popijany koniak też wydaje się pochodzić z „dowodów wdzięczności". Samo życie.

A później tak: gospodyni, czyli ciało młodej kobiety, poskładane po wypadku przez sławę medyczną, następnie poślubione przez wybawcę w wieku i profesji doktora Wilczura, po czym więzione w „sterylnej izolatce domowego zacisza", obdarzone zostaje tęsknotą artystyczną. Dzieje się to za sprawą reżysera, który jest jak Rett Butler — brutalny acz uwodzicielski. Co lekarz zrobił z ciałem, składając rozbite szczątki w atrakcyjną kobiecę na kształt Stefanii Harper, to wrażliwy mężczyzna uczynił z jestestwem. W zapędach uwodzicielskich wprowadził ją jednak do świątyni sztuki, co bardzo poskromiło swobodę zachowań obydwojga i cały czas pozostali na pan—pani. On, obejmując natychmiast rolę kapłana, pozyskuje zatem jeszcze jedną wyznawczynię, tym żarliwszą, że „naturszczykowską".

A ponieważ nie jest to historia dydaktyczna, pokazująca zaangażowanie w pracę zawodową, które się przejawia w nieustannym poszukiwaniu talentów (z warsztatem aktorskim lub bez) ani też nie jest to opowieść przesłodzona — wplata się wątek przeciwności losu. Przychodzi czas na łzy. Wdrażana do zadań dramatycznych doktorowa doznaje wrażeń słuchowych i wychwytuje uchem, co tak w duszy gra, pobudzone oryginalną symboliką dzwonów, i chcąc biec za głosem powołania, napotyka doktorowa barierę, która cieniem legła w poprzek opromienionej sławą drogi. Jest to bliżej nieokreślona jednostka chorobowa, coś jakby przypadłość nóg, bo jak bohaterka zdejmuje szpilki albo kończy obsługiwać gości na przyjęciu, to siada w wózku inwalidzkim, a w szesnaście lat po operacji nawet mdleje. Cóż to jednak za przeszkoda wobec prawdziwego powołania!

Ażeby nikt nie myślał, że to „Smak miłości i łez" albo jakaś inna „Trędowata" i w ogóle coś de mode, to proszę sobie wyobrazić losy artystycznego tandemu w fowistycznie agresywnych plamach świateł — w ostrym fiolecie, jakby symbolu zawiści wobec telewizji, z akcentem żywej zieleni, niczym nadziei na triumf prawdziwej sztuki. Przy następnej premierze.

Magdalena Jankowska

Państwowy Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie. Giennadij Mamlin: „Dzwony"; przekład: Jerzy Koenig. Reżyseria: Tadeusz Kijański. Asystent reżysera: Jerzy Jasiński. Scenografia: Janusz Kijański. Asystent scenografa: Ireneusz Salwa. Muzyka: Andrzej Korzyński. Wykonawcy: Ewa Borowik, Zdzisław Wardejn. Premiera — czerwiec 1988.

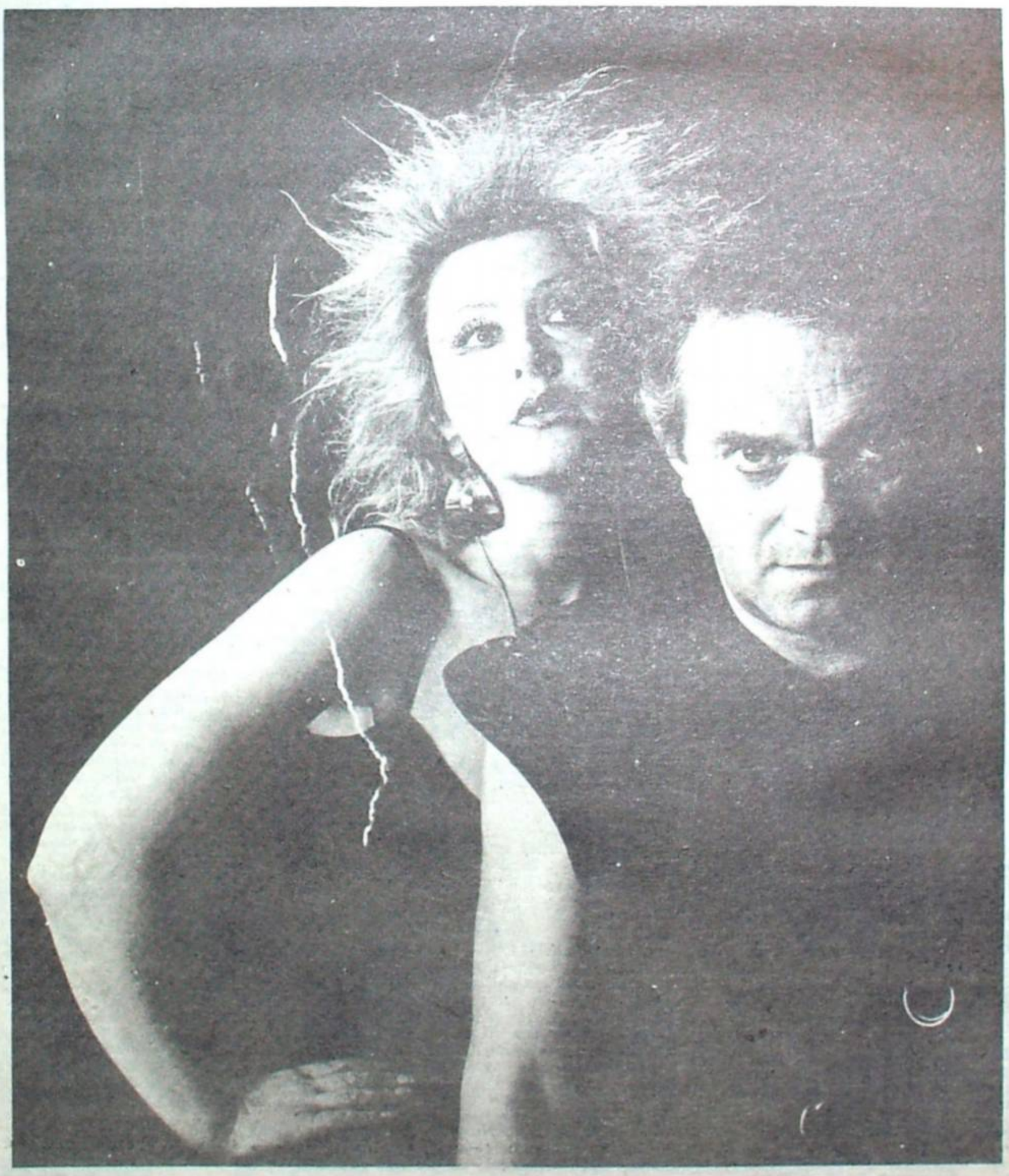

Ewa Borowik, Zdzisław Wardejn — artystyczny tandem w agresywnych plamach świateł

Fot. Jerzy Kośnik

700 - lecie harców lajkonika

MIJA 700 lat od powstania legendy krakowskiego lajkonika, którego orszak co roku w oktawę święta Bożego Ciała wyrusza spod klasztoru norbertanek na krakowskim Zwierzyńcu.

Według legendy, gdy pod koniec lat 80. XIII w. hordy tatarskie oblegały Kraków, najeźdźców odparli dzielni mieszkańcy miasta. Obronę grodu odważnie wspierało osiadłe na Zwierzyńcu bractwo włóczków, czyli flisaków, którym to jakoby udało się zabić chana, co spowodowało odstąpienie Tatarów od oblężenia. Na znak zwycięstwa jeden z chłopców zwierzynieckich, a według innej wersji — sam naczelnik włóczków, w przebraniu zabitego chana wjechał triumfalnie do miasta, owacyjnie witany przez mieszkańców. Tak narodziła się legenda, która do dziś stanowi jedną z największych atrakcji turystycznych Podwawelskiego Grodu.

Już pod koniec XIII w. uroczysty korowód tatarski stał się corocznym zwyczajem, z tym że prawdziwego konia zastąpił wyrzeźbiony w drewnie, na którym tańczył członek bractwa włóczków przebrany za tatarskiego chana. Taniec na drewnianym, barwnie ubranym koniu przetrwał wiele wieków, a potem został zapomniany. Odtworzył go w nowej postaci w latach 20. XIX w. Konstanty Majeranowski, redaktor „Pszczółki krakowskiej".

Jak twierdzą historycy, w rzeczywistości lajkonik wywodzi się ze średniowiecznych uroczystości cechowych, a sam zwyczaj tańczenia na drewnianym koniu jest dużo starszy i znany był dawniej w wielu krajach Azji (Tybet, Japonia) oraz Europy (Francja, Włochy, Niemcy), zaś orientalny strój tancerza powstał zapewne w XVII—XVIII w. pod wpływem ówczesnej mody związanej z ubiorem janczarskim.

Strój, w jakim tańczy współczesny lajkonik, zaprojektował w 1904 r. Stanisław Wyspiański. Oryginał przechowywany jest w Muzeum Historycznym miasta Krakowa, a kopia, którą oglądają uczestnicy pochodu, jest wierną repliką dzieła twórcy „Wesela".

Wojciech Kopeć

CORAZ częściej pojawiają się na łamach „Akcentu" nazwiska bardziej znanych autorów, co oznacza, że lubelski kwartalnik zyskał trwałe miejsce w krajowym życiu literackim i stał się czasopismem ważnym. Zacznijmy omówienie numeru od prozy, która obecna jest dwoma znaczniejszymi nazwiskami: Andrzeja Turczyńskiego i Jana Rybowicza. Pierwszy — to pisarz o wyrobionej już marce, piszący dużo i coraz lepiej, chociaż nie potrafi on jeszcze przekroczyć tej tajemniczej granicy, oddzielającej przeciętną pisaninę od literatury, która natychmiast zwraca uwagę.

Publikowany w „Akcencie" tekst „Major Regge" to fragment powieści „Prowokacja". Osobiście mam uprzedzenie do parabolicznych powieści polityczno-policyjnych, które nie dzieją się w naszej, współczesnej rzeczywistości. Łatwo bowiem autorowi ominąć prawdę własnego czasu i prawdę języka. Stylizacja podsuwa ograne wzorce, stylistyczne właśnie (a trzeba wiedzieć, że polska literatura jest wielkim laboratorium powieści historycznej), i zdarza się, że znakomicie napisana i skomponowana książka ma w sobie coś fałszywego. W tym przypadku tekst Turczyńskiego wydaje mi się za okrągły, zbyt gładki i ugrzeczniony (ów nieśmiertelny stereotyp monarchii austro-węgierskiej jako wcielenia ele-

Ekran i widz

Złoty Eddie

EDDIE Murphy jeszcze raz udowadnia naszemu coraz bardziej zbiurokratyzowanemu światu, że Sztuka nie wynika z „papierka", lecz z talentu. Albo się ma coś do powiedzenia w dziedzinie literatury, malarstwa, muzyki, teatru lub kina, albo się nie ma, i wówczas żadne dyplomy nie pomogą.

Eddie urodził się przed dwudziestu siedmiu laty w czarnym nowojorskim Harlemie i wszystko wskazywało, że powiększy szeregi miejscowych czarnoskórych wyrostków, wegetujących z dnia na dzień na pograniczu przestępczości, albo też wybierze drogę cnoty, co zapewni mu znojny kawałek chleba przez całe życie. Choć można też podobno z pucybuta zostać milionerem. Eddie jednak miał talent, osobowość i kochał scenę.

Zwrócił na siebie uwagę już w dzieciństwie, jako czarny malec obdarzony niezwykłą vis comica. A także bujną wyobraźnią i nieprawdopodobnie wyostrzonym zmysłem obserwatorskim, dzięki czemu objawił się także jako autor wykonywanych przez siebie scenek komicznych i satyrycznych skeczy. Od piętnastego roku życia występował już na estradzie, uznany przez kolegów za profesjonalistę, i nikomu nie przeszkadzało, że ledwie przelazł przez szkołę podstawową.

Wkrótce trafił do telewizji, polecony przez właściciela klubu „The Comic Strip" na Manhattanie realizatorom programu „Saturday Night Live". I właśnie wówczas rozpoczęła się jego zaskakująca szybka kariera. Stał się ulubieńcem telewizyjnej publiczności. Reprezentował typ żywego jak srebro, inteligentnego, choć niezbyt wykształconego, murzyńskiego „gawrosza" z dzielnic nędzy, przebijającego się przez życie z humorem, aczkolwiek — gdy nie ma innego wyjścia — torującego sobie drogę pięścią. Jego budzące radość widowni „odzywki", „grepsy", sposób reagowania na to, co się dzieje wokoło, były odzwierciedleniem tego, czym żyje i w jaki sposób się zachowuje peryferyjna amerykańska ulica.

Dobiegając dwudziestki, miał już Eddie Murphy za sobą trzy nominacje do niezwykle wysoko liczącej się w Stanach Zjednoczonych telewizyjnej nagrody „Emmy" (która jest swoistym odpowiednikiem filmowego „Oscara"): dwukrotnie jako wykonawca, raz jako „tekściarz" programów rozrywkowych. Był nie tylko aktorem, ale także piosenkarzem. W przyszłości ten kolejny jego talent miał zaowocować „złotymi płytami". Jedna z nich otrzymała w 1984 r. nagrodę „Emmy". Nosiła prosty, ale wszystko mówiący tytuł — „Eddie Murphy: Comedian".

Niezwykły komediowy talent młodego nowojorczyka sprawdził się także w kinie. I w tym względzie każdy kolejny rok przynosił coraz większe rewelacje.

W 1982 r. Eddie Murphy debiutuje w filmie „48 Hrs." Jest dobry, ale przede wszystkim zauważa się na ekranie uznaną gwiazdę — znakomitego Nicka Nolte'a. Lecz już w rok później w filmie Johna Landisa „Nieoczekiwana zmiana miejsc" (idącym do tej jeszcze pory także na naszych ekranach), tworząc postać czarnoskórego biedaka-cwaniaka, obdarzonego nieprawdopodobnym zmysłem organizacyjno-handlowym, dystansuje bez reszty sławnego Dana Aykroyda (pamiętnego bohatera filmów „Blues Brothers" i „1941"). Właśnie za tę rolę — Billy'ego Ran Valentine'a, „żebraka" przemienionego nagle, jak u Marka Twaine'a, w opływającego w dostatki „królewicza" — otrzymał Murphy nominację do „Złotego Globu", równej prawie „Oscarowi" nagrody nowojorskich krytyków filmowych.

W 1984 r. wchodzą na ekrany dwa kolejne filmy z udziałem Eddiego: „Best Defense" (gdzie gra on rolę epizodyczną) i „Gliniarz z Beverly Hills" — gdzie kreuje tytułową postać murzyńskiego policjanta z Detroit, który przybywszy na urlop do bogatego, pewnego siebie Los Angeles, z właściwym sobie wdziękiem i przedsiębiorczością rozwiązuje skomplikowaną aferę kryminalną, z jaką nie potrafiła sobie dać rady tamtejsza policja.

Kręcąc „Gliniarza z Beverly Hills", ową sensacyjno-kryminalną komedię w reżyserii młodego amerykańskiego reżysera Martina Bresta, liczył sobie Eddie Murphy tylko dwadzieścia trzy lata! Warto zwrócić na to uwagę, bo zazwyczaj jest to wiek, w którym młodzi ludzie, zafascynowani teatrem lub kinem, dopiero opuszczają mury szkół dramatycznych, mając przyswojone zaledwie abecadło wiedzy i umiejętności aktorskich. Tymczasem młody „naturszczyk" Eddie znakomicie udźwignął niesłychanie trudną rolę sensacyjno-komediową (a więc taką, gdzie trzeba i wywoływać co chwilę śmiech, i być zarazem budzącym podziw, pełnokrwistym mężczyzną, aktorem dramatycznym, kaskaderem, strzelcem wyborowym itp., itp.). Właśnie ta brawurowo zagrana rola zwyczajnego, skromnego policjanta, Axela Foley'a, zyskała dla jej wykonawcy światowy rozgłos, sprawiła, że „Gliniarz" przyniósł kolosalne zyski, co zresztą było konsekwencją nieprawdopodobnej „frekwencyjności". Film trafił w 1984 r. do tzw. „Złotej Dziesiątki" najbardziej kasowych dzieł ekranu.

Jeden z amerykańskich krytyków, Richard Combs, oceniając „Gliniarza z Beverly Hills", zwrócił uwagę, że w tej „dobrotliwej komedii" Eddie Murphy, budując postać swego bohatera, „zamierzył coś więcej niż dobrotliwość — coś w rodzaju dopingującej dobroci. I to jest wartość, która przepełnia cały film". Wydaje się, że krytyk trafił tu w samo sedno sprawy. Eddie w tworzonych przez siebie postaciach, w kolejnych swoich filmach, jest nie tylko błyskotliwym czarnoskórym, budzącym niezwykłą sympatię „gawroszem". Jest nie tylko komikiem „dobrotliwym". Ale przede wszystkim emanuje z niego dobroć. Serdeczny, przyjazny stosunek do świata i ludzi pomimo całego zła, gwałtu i przemocy, jakie w świecie panują. Oglądając filmy z udziałem Eddiego, odprężamy się wewnętrznie. Odzyskujemy — choćby na dwie tylko godziny projekcji (ale i to dobre!) — wiarę w ludzi. I chyba właśnie za to tak lubimy Eddiego.

Na polskich ekranach idzie właśnie kolejny film Eddie Murphy'ego — „Złote dziecko" Michaela Rothie. Sympatycznemu „gliniarzowi" partneruje tu urocza Charlotte Lewis, kreująca postać tajemniczej Tybetanki, która wprowadza Eddiego w świat legend i wierzeń, zrodzonych na „dachu świata". A także — do klasztoru, skąd porwano obdarzone niezwykłą mocą „Złote Dziecko", będące samą dobrocią, która ma oczyścić świat z władzy Zła. A dokąd dziecko zostało porwane? Oczywiście — do jaskini zła, Los Angeles! I Eddie jest jedynym Wybranym, który będzie zdolny „Złote Dziecko" i zarazem nas wszystkich — ocalić...

To może nie najlepszy film Murphy'ego, lecz podobnie jak inne jego filmy, wart obejrzenia. Choć z o wiele większym zainteresowaniem czekam na „Beverly Hills II", w którym partnerką Eddiego jest była żona Sylvestra Stallone, długonoga i jamowłosa ex-modelka, Brigitte Nielsen.

M. D.

Charlotte Lewis i Eddie Murphy w „Złotym dziecku"

„Akcent" nr 2/88

gancji, brrr!), co podsuwa przypuszczenie, iż powieść będzie przykładem typowego przerostu formy nad treścią. Ale — zobaczymy. Na razie czyta się to nieźle, chociaż treść jest banalna i, powiedzmy, drugorzędna.

Więcej dobrego trzeba natomiast powiedzieć o Rybowiczu i jego opowiadaniu „Ostatnia szuflada". Śledziłem rozwój tego pisarza od jego debiutu w latach siedemdziesiątych. Choć nie zaliczony wówczas do kręgu tzw. rewolucji artystycznej, od razu zyskał uznanie krytyków spod znaku Henryka Berezy za nieprzeciętną świeżość językową. Przez wiele lat zdawało mi się, że był to jedyny atut tego autora. „Ostatnia szuflada" zaświadcza, że — nie. Rybowicz ujawnia się tym razem jako pisarz „akademicki", kulturowy, o szerszych ambicjach filozoficznych. Tego rodzaju rozwój talentu cieszy, chociaż z drugiej strony smutne to, że w czasie, gdy rzeczywistość staje się coraz bardziej ciężka, pisarze uciekają albo w historię, albo w filozoficzną przypowieść. Widocznie taka jest logika literatury, że potrzeba dużego dystansu, aby (jak uważał Kazimierz Wyka) móc sensownie wyrokować.

Na tle nazwisk renomowanych opowiadanie Krzysztofa Szymoniaka „Grzech" wypada zdecydowanie najlepiej (nie znam zupełnie tego autora, przydałoby się, żeby „Akcent", wzorem „Res Publiki", umieszczał pod tekstami niewielkie notki o autorach). Ten tekst o pierwszym doświadczeniu erotycznym napisany został z dużą kulturą, nie jest — co ważne — banalny i nie razi dobrego smaku. Wszystko w tym opowiadaniu jest „jak trzeba". Wydaje mi się, że mamy w tym przypadku zapowiedź prawdziwego talentu. „Skaza" Stanisława Stasika warta także uważnej lektury.

Z poezji zwraca uwagę blok tekstów Bursy i o Bursie. Ten przedwcześnie zmarły poeta ma rosnące wciąż grono wielbicieli, a i krytycy poświęcają sporo uwagi temu klasykowi kontestacji. Tym razem „Akcent" przynosi młodzieńcze, dotąd nie publikowane próby Andrzeja Bursy. Nie są to może wiersze wybitne, ale stanowią interesujący appendix do jego twórczości. Polecam szczególnie wiersz „Jestem szczurem...", mocny, bardzo dzisiejszy, zdradzający u Bursy zdolności profetyczne (albo świadczy o tym, że przez 40 lat niewiele w Polsce zmieniło się na lepsze. Wybierajmy...).

Wreszcie krytyka literacka i eseistyka. Cóż, trzeba niestety z przykrością powiedzieć, że czasy, kiedy „Akcent" kupowało się głównie dla znakomitej krytyki, należą do przeszłości. Czy zamierzchłej bezpowrotnie? Nie można odpowiedzieć na takie pytanie, ponieważ krytyka literacka w Polsce cierpi od lat na jakąś tajemniczą chorobę. Niewielu krytyków wyjechało po roku 1981 na Zachód. Z liczących się nazwisk tylko Zagajewski pozostał we Francji (jest współredaktorem paryskich „Zeszytów Literackich"), i — chyba — Wojciech Karpiński. Barańczak wyjechał wcześniej, ale przecież pisuje do prasy krajowej. Więc skąd ta mizeria?

W latach siedemdziesiątych najgłośniejszy ton krajowej krytyce nadawała szkoła tzw. rewolucji artystycznej. Obecnie widać jak na dłoni, że była to koniunktura sztucznie nadmuchana, że był to pozór, służący odwróceniu uwagi od spraw naprawdę istotnych. Być może potrzeba czasu, aby krytycy otrząsnęli się po tamtejszym amoku? Nie wiem. W każdym razie „Akcent" jest w tej mierze tylko ofiarą.

Ale i na tym tle jaśnieje światełko. Myślę o coraz lepiej, mądrzej piszącym Pawle J. Smoczyńskim. (A wyjaśniam, że chwalę go nie dlatego, iż jest moim kolegą z wojska). Jego szkic „Władysław Tatarkiewicz wobec wartości etycznych" przeczytałem z prawdziwą przyjemnością. Smoczyński pisze [illegible] o ważnych rzeczach, a czyni to w sposób jasny i treściwy. Jest to dobra kontynuacja najlepszej polskiej szkoły eseju filozoficznego i cieszę się, że Tatarkiewicz ma tak pojętnego ucznia.

Natomiast o całej reszcie tekstów eseistycznych nie mogę powiedzieć nic dobrego. Blok szkiców teatralnych „Przyroda słowa" uważam za — hm — mało udany (by nie powiedzieć: nieporozumienie). Wybaczcie, szanowni czytelnicy, ale kiedy czytam, że: „W nowej fazie kryzysu sytuacji słowa wzrosła gotowość słuchania", to... odkładam natychmiast takie czasopismo. Zespół „Akcentu" składa się z wystarczająco kompetentnych osób, aby ustrzec kwartalnik przed tego rodzaju dywagacjami.

W sumie — jest co czytać w tym numerze i płacąc zań 150 złotych, robimy raczej dobry interes.

(Paw)

Pocztówkowe wzruszenia

PAN Ryszard Bogdziewicz urodził się w Warszawie (1948), a jego ojciec w Wilnie. W Lublinie zamieszkał piętnaście lat temu z powodu ożenku z panną, która pochodziła z Zamościa. Nic dodać, nic przekłamać, tylko powiedzieć: polski życiorys.

Pan Bogdziewicz jest inżynierem elektrykiem, pracuje w biurze „Elektroprojekt", usytuowanym między Zalewem Zemborzyckim a ciepłownią na Wrotkowie, która posiada komin tak potężny, jak wyrzutnia promu kosmicznego.

Nad Zalewem, który mimo wszystkie niechlujstwa jest relaksowym dobrodziejstwem miasta, znajduje się nijaka alejka „Kazimierza Bryńskiego", choć cały ten zbiornik winien nosić imię człowieka poniewieranego w walce o to, abyśmy mogli się dzisiaj byczyć na trawce Dąbrowy czy Mariny.

Pan Bogdziewicz pracuje na co dzień w branży elektrycznej, ale uczucia swoje osobiste lokuje chyba w rejonach innych, powstałych z wymieszania faktów z ludzką imaginacją, których konstury rozpływają się w mglistej poświacie historii.

Właściwie to sprawa jest prosta, a może już nawet banalna; pan Bogdziewicz kolekcjonuje pocztówki i różne karty: artystyczne, propagandowe, reklamowe, okolicznościowe, od lat uganiając się ponadto za tzw. zastępczymi znakami pieniężnymi w Wojsku Polskim, których sama nazwa budzi we mnie respekt. Proceder ten zdaje się nurzać w pospolitości, bo niemal wszyscy coś u nas zbierają: znaczki pocztowe, samowary, lampy naftowe, szkło secesyjne, dolary, starodruki, etykiety, makulaturę, butelki i szmaty. Zbierają urzędnicy i rzemieślnicy oraz Wojciech Fibak, który zresztą w ubiegłym roku rozwinął interes o własny kwartalnik „Pro Arte" — wydawany w nowojorskim Brooklynie, poświęcony sztuce polskiej w USA i Europie zachodniej, chwalący się nakładem 400 numerowanych egzemplarzy, a wyceniony na 40 dolarów oraz 10 tys. zł sztuka, co jakby zrozumiale, albowiem rzecz gawędzi w dwóch językach: Waszyngtona i Kościuszki.

Sobór na pl. Litewskim. Karta pocztowa z czasów I wojny światowej.
Repr. E. Kozicki

To oczywiście naganne, ale prawdą pozostaje, że nie kocham kolekcjonerów.

Ale jako Polak rodem znad Wisły, cierpię na brak konsekwencji i otwieram się sympatycznie w stronę pana Bogdziewicza. Nie dlatego jednak, że działa on z uporem, metodycznie, ze znajomością rzeczy, gromadząc dobra, które m.in. obejmują prawie 4000 pocztówek. Zbliżają mnie do niego emocje, przy pomocy których wzniósł przynajmniej fundament tej swojej imponującej (fakt!) kolekcji.

On po prostu zaczął zbierać pocztówki z powodów rodzinnych, wedle takiego klucza, jakby rekonstruując przestrzenie familijnych doświadczeń realnych, wyobrażeniowych i słodko zmistyfikowanych. Z jego pocztówek wyłaniają się niegdysiejsze czasy Wilna i innych połaci kresów wschodnich (ojciec), Huculszczyzny, Zamościa (żona), Lublina (bez komentarzy)... Z biegiem lat krąg zainteresowań Bogdziewicza poszerzył się oczywiście, na przykład o Zakopane, ale to już naturalny los każdego amatora, który prędzej czy później musi ulec autonomicznym wdziękom przedmiotu pożądania.

Osobiście to ja dziękuję Bogdziewiczowi za wystawę „Lublin na starej pocztówce", którą zechciał urządzić w sali WDK, nie bacząc na biedniacką urodę stelaży (?) ekspozycyjnych, wypożyczonych od filatelistów. Subtelne widokówki poradziły sobie przecież z chamskim obramowaniem — taka w nich siła!

Siła dokumentalna, czasami estetyczna, ale przede wszystkim chyba sentymentalna.

Nigdy nie zajmowałem się historią, funkcją i specyfiką formalną takich druków. Dopiero z tekstu Bogdziewicza w katalogu wystawy dowiedziałem się, że: „Ostateczną, do dziś zachowaną formę uzyskuje pocztówka w roku 1905. Union Postale Universelle normalizuje wygląd karty pocztowej. Jed-

Sensacje z przeszłości

Stracenie Samuela Zborowskiego

STEFAN Batory czynił wiele, by podnieść autorytet władzy monarszej. Między innymi zgoda króla na wykonanie przez starostę grodzkiego krakowskiego Jana Zamoyskiego wyroku śmierci na banicie Samuelu Zborowskim była jedną z dróg budowania tego autorytetu.

Stracenie Samuela Zborowskiego weszło na trwałe do świadomości narodowej, obrosło klechdą i legendą. Kto o tym w Polsce nie pisał?! Sprawie Zborowskiego poświęcili swe pióra: Juliusz Słowacki, Gabriela Zapolska, Stanisław Wyspiański, Józef Ignacy Kraszewski, Stefan Żeromski, Zbigniew Safjan, że wymienimy tylko niektórych pisarzy i poetów, nie wspominając uczonych.

Przejdźmy jednak do zrelacjonowania owego wydarzenia.

W 1572 r., po śmierci ostatniego z Jagiellonów — Zygmunta Augusta, rozpoczęła się walka polityczna wokół elekcji nowego króla. Wówczas to jeden z braci Zborowski, Andrzej, miecznik koronny, należał do inicjatorów wysunięcia na tron polski kandydatury królewicza francuskiego Henryka Walezego. Istotnie Zborowscy odegrali poważną rolę w ofiarowaniu korony polskiej Walezemu i mieli szansę zostać jego czołowymi współpracownikami. Że tak się nie stało, spowodowała nie tylko ucieczka nowego króla z Polski, lecz także porywcza, skora do zwady natura Samuela Zborowskiego, który w czasie uroczystości koronacyjnych Walezego zabił w Krakowie kasztelana przemyskiego Andrzeja Wapowskiego, za co został skazany na konfiskatę majątku i banicję.

Po wyborze na tron polski Stefana Batorego rodzina Zborowskich podjęła próbę zdjęcia banicji z Samuela. Rzecz nie była łatwa, zwłaszcza że krewni Wapowskiego byli nieprzejednani. Prawdą jest jednak, że Batory, za nim i starostowie królewscy przymykali w tym czasie oczy na przebywanie, nawet dość jawne, banity w kraju. Rychło jednak stosunki między rodziną Zborowskich a królem uległy radykalnemu pogorszeniu. Tym razem przyczyną konfliktu byli bracia Samuela, Andrzej i Krzysztof, którzy — niechętni wzrostowi władzy Batorego, zazdrośni ponadto o wyniesienie na najwyższe urzędy państwowe Jana Zamoyskiego, tj. kanclerstwo i hetmaństwo wielkie koronne — przeszli wyraźnie do opozycji.

Mocno tkwiący w życiu politycznym kraju, jeden z polskich biskupów tak pisał na ten temat: „Król chciał moc Zamoyskiego jak najwyżej wygórowaną i ustaloną widzieć, w nim jednym, jako w mężu zdrowej i gruntownej rady, zdolnym do utrwalenia w Polsce zamierzonego od siebie rzeczy porządku, upatrywał pomocnika i takiego właśnie, którego by dzielnością wiszącym już nad sobą niebezpieczeństwom zastawić się mógł. Stąd go bogatszymi starostwami obdarzał i nadto, żeby go sobie przychylniejszym uczynił, za powtórnym jego po śmierci Radziwiłłówny owdowieniem, synowicę mu swoją, a rodzonego brata swego Krzysztofa Batorego córkę, imieniem Gryzelda, w małżeństwo zaślubił. Tym zawziętsza więc przeciwko królowi Stefanowi wzmogła się nienawiść, zwłaszcza za podnietą Zborowskich, którzy lubo z własnych uraz dosyć już niechęci ku niemu powzięli, cudze atoli i takie rzeczy, co by do praw publicznych naruszenia ściągać się zdawały, rozgłaszali

Jan Matejko, „Zborowski prowadzony na śmierć", 1860, akwarela

na jej strona przeznaczona zostaje wyłącznie na ilustrację, druga — podzielona pionowo — służy na adres i korespondencję".

Z tego źródła dowiaduję się ponadto, że pierwsze karty z widokami Lublina wykonane zostały, w litografii, gdzieś w latach dziewięćdziesiątych minionego stulecia, wychodząc w świat z drukarni J. Nowaczyńskiego przy obecnej ul. Kościuszki 4.

Ta pożyteczna wiedza ustępuje jednak uczuciom, jakie wzbudzają stare kartki: czarno-białe, kolorowane, przesączone sepią, niby to marniutkie w porównaniu ze współczesną, wściekle kolorową i lakierowaną widokówką, ale przecież milsze, cieplejsze od wielu rąk, przez które przeszły.

Oto karta z przełomu wieków, przedstawiająca słynną cukiernię Semadeniego przy Krakowskim Przedmieściu 27, wydana być może przez samego właściciela przybytku. Kompozycja taka sobie, ale ten szyld, ten wielki szyld nad wejściem do lokalu: „Confiserie A. K. Semadeni"! I już zaczyna człowiek grzebać w wyobraźni, a potem, w domu, w prywatnym archiwum prasowym, w którym znajduje wiadomość, że od pewnego czasu (1936) w cukierni zbierają się członkowie lubelskiego Związku Artystów Plastyków, a na ścianach ukazały się prawdziwe obrazy, nie jakieś tam landszafty czy oleodruki. Gazeta napomyka też, że „jest to jedyny lokal w Lublinie, gdzie my Polacy jesteśmy wśród swoich [...]".

Albo pocztówka z lat 1916—1918, wydana nakładem F. Karpowicza w Warszawie, a eksponująca wielki sobór na pl. Litewskim. Pięć kopuł, grube mury, samodzierżawie w pełnej krasie! W pośpiechu otwieramy więc zakamarki pamięci — no i co tam widzimy?! Kupę cegieł, w jaką przeobraził się sobór po odzyskaniu niepodległości przez Polskę. Widzimy ponadto karawanę furmanek, wiozących ów materiał budowlany na ul. Żwirki i Wigury, gdzie pną się w górę mury wojskowego obiektu, który znamy dziś pod nazwą Garnizonowego Klubu Oficera.

I jeszcze jeden widoczek, kolorowy, z warszawskiej firmy K. Wojutyńskiego. Tak miała wyglądać Rusałka około 1907 roku: staw, na nim łódeczki, na brzegu jakoweś wielkie drewniane hale, bodaj o funkcji ludycznej. Więc porównujemy sobie ten sielankowy obrazek z obecną sytuacją przestrzenną miejsca, stwierdzając, że woda wyschła, budynki się rozpadły, a naprzeciwko siebie stoją teraz: kościół w budowie i niebieski namiot czteromasztowy, w którym niedawno odbywały się różne zapasy przedwyborcze. No i trochę żal, że stawu nie ma.

Pocztówkowe wzruszenia...

IJK

Secesja w architekturze Lublina (5)

Alicja Kurzątkowska

Willa „Wanda" **Fot. Przemysław Ostrzyżek**

SŁAWINEK — letniskowe przedmieście lubelskiej burżuazji — też może poszczycić się jednym dobrym przykładem architektury secesyjnej. Nie jest to czynszówka, ale wolno stojąca willa „Wanda" przy Alei Warszawskiej 59, obiekt najmłodszy wśród wymienionych zabytków secesyjnych. Wybudowano ją dość późno, dopiero w 1928 r., na zamówienie rodziny Piaszczyńskich. Parterowy budynek ma półkolistą wystawkę od frontu i zsunięty z osi, arkadowy ganek wejściowy. Filary ganku, pilastry oraz detale wystawki są rowkowane, a nad oknami w prostokątnych wnękach powtarzają się stylizowane głowy kobiece.

☆

Z dokonanego przeglądu zabudowy Lublina wynika, że dominujący temat architektoniczny w okresie secesji stanowiła czynszówka. Od czasów kapitalizmu kamienica czynszowa stała się domem lokatorskim, zarówno warstw wyższych, jak i biedoty. Kamienice te budowano z myślą o czerpaniu zysków z wynajmowanych mieszkań, i była to rentowna lokata kapitału, tak dla burżuazji, jak i dla ziemiaństwa. Czynsze w tych dużych, wielorodzinnych domach oczywiście różnicowano w zależności od standardu lokalu. Najbardziej luksusowe i najdroższe były mieszkania usytuowane od frontu i na piętrze, ze schodami frontowymi i kuchennymi. Skromniejsze i tańsze znajdowały się w oficynach, zaś zupełnie tanie — w suterenach i na poddaszach. Posiadanie eleganckiego mieszkania w czynszówce secesyjnej było niewątpliwie wykładnikiem prestiżu i przejawem nowoczesności.

Modernizowanie czynszówki w duchu sececji odbywało się między innymi przez wprowadzenie do wielkomiejskiej kamienicy takich motywów, jak wykusz czy loggia. Pierwszy stanowił intymny zakamarek apartamentu, pozwalający jednocześnie na kontakt z ulicą. Loggia, która była komfortowym balkonem, umożliwiała przebywanie na powietrzu, ale z dystansem wobec ulicy. Z szeregiem przykładów tego typu rozwiązań można się spotkać np. w mieszkaniach przy ul. Chopina 11 czy Krakowskim Przedmieściu 49. Reprezentacyjny pokój mieszkania, będący salonem lub jadalnią, posiadał element również przejęty z architektury historycznej. Było to wielkie okno, które w poprzednich okresach występowało jako charakterystyczny akcent pałacowych sal balowych.

Czynszówka, którą tak radykalnie wówczas zmieniono, kształtując na nowy sposób jej formę, począwszy od zabudowy działki przez układ wnętrza do komponowania fasady, stała się przykładem zupełnie nowej architektury. Bez żadnych zastrzeżeń można ją nazywać architekturą secesyjną. Ale nie wszystkie lubelskie realizacje okresu secesji odpowiadają tym kryteriom. Częściej, a było tak w całej Polsce, secesyjne detale tylko dodawano do rozwiązań o zupełnie tradycyjnych bryłach i rzucie. W Lublinie takich od nowa wznoszonych, a czasem tylko przekształcanych, budynków było dziesiątki. O wielu nawet nie udało się wspomnieć, choć na swój sposób są one również bardzo ciekawe.

Zarówno konsekwentne secesyjne realizacje, jak i obiekty, które tylko „ubrano" w secesyjne dekoracje, nie były jednak w Lublinie przejawem działań o charakterze twórczym. Rolę inspirującą w obu tych procesach, funkcję pośrednika w szybkim przeszczepianiu nowych form artystycznych z pewnością odegrały szeroko wówczas rozpowszechnione czasopisma architektoniczne: berlińskie, wiedeńskie, petersburskie. Tą właśnie drogą płynęły do nas secesyjne wzorce o zróżnicowanym charakterze.

Secesja lubelska, która równie chętnie posługiwała się typowymi dla Francji motywami kwiatowymi, jak i wzorami geometrycznymi, których źródłem był Wiedeń, nie stworzyła żadnej lokalnej odmiany. Stwierdzenia te w niczym nie umniejszają jednak ani urody, ani oryginalności lubelskiej architektury w okresie secesji, której wiele przykładów odznacza się wybitnymi walorami zabytkowymi.

---

i najwięcej okrzykiwali, żeby tym większą liczbę stronników do siebie przyciągnęli i niby za całością praw obstając, nie swojej, ale powszechnej sprawy pokazali się być obrońcami. Jakoż wkrótce tak umysły stanu rycerskiego skazili, że imię króla, jakoby Rzeczpospolitą ucisnąć chcącego, nienawistnym się stało; a na sejmikach wojewódzkich, które sejm walny poprzedzać zwykły, nic po myśli króla, nic ku zgodzie i jedności nie uchwalono i wszystkie obrady do zmącenia spokojności krajowej zmierzały [...]. Działo się to za sprawą Zborowskich, związkami krwi wielce potężnych; wszędzie albowiem, a nawet i w Litwie pokrewieństwem albo powinowactwem ze wszystkimi możniejszymi domami połączeni byli; obfitując zaś w wielkie dostatki, hojnie szafowali nimi, zwłaszcza w sprawowaniu uczt [...], stoły ich dla wszystkich, a nawet dla żebraków otwarte były".

Knowania rodziny Zborowskich i zjawienie się ponowne Samuela Zborowskiego w Sandomierskiem, gdzie na czele licznego orszaku dopuszczał się różnych gwałtów, zaogniły sytuację.

Narastający konflikt znalazł nagły, tragiczny, dość przypadkowy finał. W końcu kwietnia 1584 r. starosta grodzki krakowski Jan Zamoyski ze skąpym pocztem podążał do Krakowa dla odbycia tam roków sądowych. Przejeżdżając przez Sandomierskie, otrzymał wiadomość, że Samuel Zborowski z licznym zbrojnym oddziałem przebywa w pobliżu, spiesząc też w kierunku Krakowa, tj. na podległy władzy sądowej i porządkowej staroście grodzkiemu krakowskiemu teren. Zamoyski, obawiając się ewentualnego zamachu ze strony Samuela, a zarazem traktując jego czyn za otwarte wyzwanie wobec siebie jako starosty grodzkiego i piastuna dwóch najwyższych urzędów w kraju — kancelarstwa i hetmaństwa, wzmocnił swe siły wojskowe i zdecydował się ukrócić zuchwałość banity.

W nocy z 11 na 12 maja 1584 r. wysłał silny oddział wojska pod dowództwem podstarościego krakowskiego Mikołaja Uhrowieckiego i wojewodzica bełskiego Stanisława Żółkiewskiego do majątku Piekary, gdzie, jak doniesiono, Samuel przebywał u swojej siostrzenicy Włodkowej, i tam ujął banitę. Następnego dnia, w sobotę 12 maja, wjechał Zamoyski do Krakowa ze Zborowskim w charakterze więźnia. Ujęcie banity i osadzenie go w wieży zamku krakowskiego bynajmniej nie rozwiązywało problemu. Zamoyski, chcąc stracić Zborowskiego, musiał mieć zgodę króla. Batory zgodę wyraził i Zamoyski, mimo próśb niektórych senatorów i części szlachty województwa krakowskiego, aby sprawę tę pozostawić do rozpatrzenia sejmowi, rankiem 26 maja 1584 r. dokonał egzekucji na Samuelu.

Dobrze poinformowany biskup przemyski Paweł Piasecki pisał o schwytaniu i ścięciu Zborowskiego: „Gdy więc Zamoyski z Litwy od króla na złożenie sądów swoich do Krakowa powracając, w miasteczku Proszowicach zanocował, Zborowskiego w przyległej wsi Piekarach u Włodkowej z domu Stadnickiej, siostrzenicy swojej, noclegującego i stamtąd do Krakowa w jego przytomności wjeżdżać mającego, Uhrowieckiemu, w noc głęboką z pocztem zbrojnym wyprawionemu, pojmać zalecił [...]. Zaprowadzonego na zamek krakowski [Zborowskiego] Zamoyski pod ścisłą straż, z zabronieniem wszelakiego doń przystępu oddał, a do króla gońca z zapytaniem wyprawił, czyli gardłem karany być ma: tak bowiem prawo mieć chce, żeby żaden urzędnik pojmanego szlachcica, chociażby kary śmierci winnego, pierwej niżeliby od króla nauczony został, co z nim czynić należy, gardłem karać nie ważył się. Tymczasem gdy na odpowiedź królewską czekają, wielu rozmaicie pracowało około uwolnienia owego więźnia: liczne grono szlachty krakowskiej, na sądy starościńskie zgromadzonej, wstawiło się za nim, aby cała sprawa do sejmu walnego odłożoną była, a krewni i powinowaci jego dawali dziesięciu z rodu swojego zakładników z poręką, że go na dzień naznaczony stawią przed sądem sejmowym [...] Ale na nic się nie przydały wszystkie zabiegi, bo wcześniej, jak się można było spodziewać, nadesłana żałobna odpowiedź królewska natychmiast Zborowskiemu obwieszczoną została, aby się rozporządzeniem domu swojego zaprzątnął. Dnia tegoż pod wieczór Zamoyski do żądającego z nim rozmowy, z przybranym do boku swego urzędem grodzkim, poszedł i żałośnie od śmierci wypraszającemu się list królewski okazał, którym przepisanego wyroku śmierci nie był mocen, jak mówił, pominąć. Nazajutrz (był to dzień sobotni) skoro dnieć zaczęło, podstarosta grodzki [Mikołaj Uhrowiecki] z chorągwią piechoty zbrojnej wyprowadził go za południową bramę zamkową i czyniącemu pogróżki (chustkę swoją podał jednemu z obecnych, aby ją we krwi jego zmaczaną na upominek zemsty synowi oddał) głowę ściąć dał".

Sprawa Samuela Zborowskiego nie zakończyła się wraz z jego ścięciem. Ciągnęła się jeszcze parę lat. Absorbowała sejmy, sejmiki. Między innymi w liście do sędziów Trybunału Lubelskiego pisał dramatycznie Zamoyski: „Miłościwi Panowie deputaci! [...] Przysięgę [starościńską] przed oczyma mając i sumienie swe obowiązane, abym sprawiedliwości więcej niż czemu innemu dogadzał [...], do egzekucji powinnej dekretu sejmowego i rzeczy dawno osądzonej na zwykłym miejscu postąpiłem [...]. [Gdy egzekwowania kar zasądzonych nie będzie], nic będzie po sądach, nic po urzędach; próżna praca WMściów i tych, co po trybunałach koronnych siadać będą; próżne sądy króla JMści sejmowe; wszystko to w pośmiewisko ludzi swawolnych przyjdzie; dobrzy ludzie rzeczy swych, majętności swych, a na koniec zdrowia swego, działek swych, pewni nie będą". Sprawę Samuela Zborowskiego zamknął dopiero sejm z 1589 r., uchwalając następującą konstytucję: „Za pokazaniem dostatecznym przez pomienionego hetmana koronnego [Jana Zamoyskiego], że do tej egzekucji nie z jakiej obrazy i uraz, ale z wykonania powinności swej starościej przystąpił, my, stany Rzeczypospolitej, znalazłszy ten postępek być prawny, sprawę tę wszystką za zezwoleniem rad koronnych duchownych i świeckich i posłów ziemskich obojga narodów, czasy wiecznymi umarzamy i w nieć wieczne milczenie wszystkim i każdemu z osobna imponimus [nakazujemy]".

Adam Andrzej Witusik

trójkąt zbrodni

—4—

Paweł Andrzejewski

GDYBY ci piętnastoletni chłopcy przyznali się w śledztwie wyłącznie dlatego, że byli bici przez milicjantów, byłoby to nie tylko wystarczającym powodem uniewinnienia. Funkcjonariusze MO, którzy wymusili zeznania przemocą i groźbami, powinni zostać usunięci ze służby i postawieni w stan oskarżenia. Jacek R. stwierdził przed sądem dosłownie: „Protokół podpisałem, gdyż życie jest mi miłe". Aby zrozumieć ten strach, trzeba mieć wyobraźnię i wiedzieć, co to jest obawa o życie, które tak naprawdę jeszcze się nie zaczęło. Więzienna cela, mundury, bezosobowość całej tej machiny policyjnej — to wszystko musiało przytłaczać kilkunastoletnich chłopców i budzić w nich poczucie grozy. Dlatego każdy sąd, a szczególnie sąd dla nieletnich, musi ze specjalną wnikliwością odpowiedzieć na pytanie: jak było rzeczywiście? Bo jeśli byli bici i straszeni, ci chłopcy potrzebowali teraz przede wszystkim pomocy.

Niektórzy psychologowie uważają, że bicie przez policję zostawia w młodej psychice ślad na całe życie (porównywalny do tego, co przeżywa panna-nastoletnia dziewica, na której dokonano gwałtu). Zazwyczaj młody człowiek stracony jest wówczas dla społeczeństwa bezpowrotnie. Panuje nad nim całkowicie uczucie nienawiści, staje się on przestępcą działającym ze szczególnym okrucieństwem, a wszystkie swoje czyny racjonalizuje jako zemstę na krzywdzicielach. Jest w tej zemście nigdy nie nasycony. Najpierw mści się za pobicie, potem za wyrok sądowy i pobyt w więzieniu. Potem — ujęty — za kolejny wyrok. Dlatego policje na całym świecie mocno złagodniały. Toteż fakt bicia przez milicjantów szczególnie bulwersuje dzisiaj opinię publiczną, a sądy nie przechodzą zazwyczaj nad nim do porządku dziennego.

W tym konkretnym przypadku trzy rzeczy zwróciły uwagę zespołu sędziowskiego. Chłopcy zostali po raz pierwszy wysłuchani przez sędzinę Lidię Hordyńską 6 maja. Tego bowiem dnia RUSW wyodrębnił ich sprawę jako sprawę nieletnich i przekazał pod bezpośrednią pieczę IV Wydziału Sądu Rejonowego. Było to zaledwie trzy dni po wizji lokalnej, podczas której wszyscy trzej przyznali się do udziału w napaści na Konstantego G. Dlaczego więc nie skarżyli się na milicjantów 6 maja, gdy ślady pobicia — jeżeli oczywiście byli bici — powinny być widoczne? A nawet gdyby bito ich w sposób wyjątkowo wyrafinowany, nie pozostawiając śladów dostrzegalnych gołym okiem, to bicia musiałaby potwierdzić fachowa obdukcja. To jedno. Po drugie, od samego początku dochodzenia chłopcy bardzo zgodnie przedstawiali przebieg zajścia. Wprawdzie różnili się w szczegółach co do udziału każdego z nich, ale i tak wyjaśnienia pokrywały się z wersją wypadku, którą przedstawił kolega Konstantego G. — Franciszek M. Potwierdził on przed sądem swoje zeznania ze śledztwa, a trudno przecież byłoby dać wiarę, że on także został zmuszony biciem do przedstawienia takiej a nie innej wersji wydarzeń i — następnie — ukrywał ten fakt przed sądem. Wreszcie po trzecie, Franciszek M. podczas dochodzenia oraz na rozprawie sądowej rozpoznał Andrzeja B. i Jacka R. jako tych, którzy znajdowali się w grupie napastników. Tak więc za tym, że właśnie ci chłopcy byli rzeczywiście sprawcami pobicia Konstantego G., przemawiały fakty. Przeciwko — jedynie ich własne słowa, których w tym stanie rzeczy sąd nie mógł potraktować inaczej niż nieudolną próbę obrony.

Zwraca uwagę jedno niepokojące zjawisko, które świadczy, że wymiar sprawiedliwości dla nieletnich dotknięty jest poważną nieprawidłowością. Otóż przejmując bezpośredni nadzór nad podejrzanym, który ukończył 17 lat, sąd umieszcza go w schronisku dla nieletnich, gdzie przebywa do zakończenia rozprawy i ogłoszenia wyroku. Pobyt taki trwa zazwyczaj kilka tygodni, co okazuje się wystarczającym okresem, aby młody człowiek uległ dalszej demoralizacji.

Stało się już jakąś regułą, że o ile pierwsza rozmowa z sędzią dla nieletnich kończy się przyznaniem i rachunkiem sumienia, to następna, po kilkudniowym nawet pobycie w schronisku, ma przebieg zgoła odmienny. Podejrzany zaczyna kłamać, wypierać się oczywistych faktów, oskarża milicjantów o pobicie, twierdzi, że zeznania zostały na nim wymuszone za pomocą gróźb i przemocy. Tak też zachowuje się zazwyczaj przed sądem, licząc na uniewinnienie, a na pewno współczucie i mniejszy wymiar kary.

Kto wie, czy nie byłoby lepsze i bardziej słuszne, gdyby nieletni podejrzany, w niewielkim jeszcze stopniu zagrożony całkowitą demoralizacją, okres między zakończeniem dochodzenia a procesem spędzał w domu rodzinnym? W każdym razie na pewno nie powinien on stykać się z przestępcami bardziej od niego doświadczonymi. W obecnej sytuacji gospodarczej nie sposób wymagać od państwa, aby wyłożyło pieniądze na budowę nowych schronisk dla „debiutujących" przestępców. Warto jednak zastanowić się nad tym problemem, gdyż — być może — wpadnie ktoś na takie rozwiązanie, które nie wymaga dodatkowych środków.

Ale wróćmy do rozprawy głównej, która odbyła się 27 czerwca przed Sądem Rejonowym w Białymstoku pod przewodnictwem sędziny Lidii Hordyńskiej. Mirosław A., Jacek R. i Andrzej B. oskarżeni byli o to, że „dnia 25 kwietnia 1985 roku w Białymstoku, działając wspólnie i w porozumieniu z osobą dorosłą, wzięli udział w pobiciu Konstantego G., który zmarł w wyniku odniesionych obrażeń, tj. o czyn z art. 158, paragraf 3 kodeksu karnego".

Tego samego dnia, po kilkugodzinnej rozprawie, na której wysłuchano świadków i oskarżonych, sąd ogłosił wyrok. Trzech chłopców uznano „sprawcami zarzucanego im czynu i za to, na mocy art. 10 ustawy o postępowaniu w sprawach nieletnich, sąd orzekł wobec wszystkich nieletnich umieszczenie w zakładzie poprawczym". W stosunku do Mirosława A. wykonanie wyroku zawieszono warunkowo na trzy lata, oddając go na ten okres pod nadzór kuratora zawodowego. Sąd nie dał zatem wiary, że przyznali się do przestępstwa tylko dlatego, iż byli bici przez funkcjonariuszy MO, i ich wyjaśnienia złożone podczas śledztwa, uznał za wiarygodne. Ale dlaczego wszyscy trzej uznani zostali za jednakowo winnych? Dlaczego cała trójka odpowiadała z tego samego artykułu kodeksu karnego, skoro — jak pamiętamy — Mirosław A. nie brał udziału w śmiertelnym pobiciu Konstantego G.? Kiedy wraz z Czesławem Z. wrócił on po nieudanej gonitwie za Franciszkiem M. — ofiara leżała już bez ruchu na ziemi.

Obrońca Mirosława A. nie wniósł rewizji do sądu wyższej instancji. Widocznie i chłopiec, i jego rodzice uznali wyrok za słuszny i sprawiedliwy. Nas jednak interesuje w tej sprawie sposób rozumowania sądu, tym bardziej, że artykuł 158 kodeksu karnego stanie się prawdziwym bohaterem podczas procesu Czesława Z., jedynego dorosłego spośród napastników, a więc zagrożonego skazaniem na kilkuletnie więzienie.

Oto dosłowne brzmienie tego artykułu: „Art. 158 § 1. Kto bierze udział w bójce lub pobiciu, w którym naraża się człowieka na niebezpieczeństwo utraty życia, ciężkiego uszkodzenia ciała lub ciężkiego rozstroju zdrowia, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.

§ 2. Jeżeli następstwem bójki lub pobicia jest ciężkie uszkodzenie ciała lub ciężki rozstrój zdrowia, sprawca podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8.

§ 3. Jeżeli następstwem bójki lub pobicia jest śmierć człowieka, sprawca podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od roku".

Z książki „Kodeks karny. Komentarz" autorstwa Jerzego Bafii, Kryspina Mioduskiego i Mieczysława Siewierskiego, wydanej przez Wydawnictwo Prawnicze w roku 1977, wynotowałem komentarze, które ułatwiają zrozumienie całej zawiłości tej sprawy. Autorzy piszą m.in.: „Do bytu przestępstwa z art. 158 kk nie jest niezbędne, aby każdy z uczestników bójki lub pobicia zadał pokrzywdzonemu choćby jeden cios w postaci uderzenia, kopnięcia itp., natomiast wystarczy dla wypełnienia bytu tego przestępstwa inna postać udziału w bójce (pobiciu), tj. świadome połączenie działania jednego ze sprawców z działaniami innego człowieka lub większej grupy osób przeciwko innemu człowiekowi lub grupie ludzi, jeżeli z bójki (pobicia) wynikną skutki wymienione w tym przepisie, i to niezależnie od tego, czy da się ustalić indywidualnego sprawcę konkretnych skutków, czy też nie. OSN KW 181/72".

Widzimy zatem, że Sąd dla Nieletnich stanął na stanowisku, iż pobicie Konstantego G. i pogoń za uciekającym Franciszkiem M. to było jedno zajście. Wszyscy bowiem chłopcy zaatakowali razem i jednocześnie dwóch idących mężczyzn, a jedynie logika ataku i wzgląd na skuteczność wymagały, aby siły napastników zostały rozdzielone. Według sądu zatem, Mirosław A., goniąc Franciszka M., miał swój udział w śmiertelnym pobiciu Konstantego G. Trudno odmówić racji takiemu rozumowaniu, ponieważ związek przyczynowy pomiędzy śmiercią Konstantego G. a faktem pogoni za Franciszkiem M. jest oczywisty. Goniąc uciekającego, chłopcy wspomagali tym samym Jacka R. i Andrzeja B., którzy katowali swą ofiarę, nie bojąc się, że Franciszek M. może im w tym przeszkodzić. W ten sposób pośredni udział w zabójstwie Konstantego G. wyczerpuje znamiona czynu przedstawionego w cytowanym komentarzu. Jest to jasne i — jak sądzę — przekonujące.

Natomiast rozprawa przeciwko Czesławowi Z. doprowadziła sąd do zupełnie innych wniosków.

Czesław Z., jak pamiętamy, nie został zatrzymany wraz z trójką nieletnich. Według ojca, który zgłosił się 3 maja do komisariatu, chłopiec uciekł z domu, kradnąc rodzinne kosztowności i pieniądze. W aktach sprawy nie znalazłem dokumentów świadczących, że Czesław Z. był poszukiwany przez milicję. Prokurator wychodził widocznie z założenia, że chłopiec wróci wkrótce do domu, i nie uruchamiał kosztownej machiny policyjnej. I rzeczywiście: po niespełna trzech tygodniach Czesław Z. pojawił się w komisariacie w towarzystwie ojca.

Zapytany, dlaczego się zgłosił, odparł, iż słyszał od kolegów, że jest poszukiwany w związku ze śmiertelnym pobiciem Konstantego G. Przyszedł więc, aby udowodnić swoją niewinność. Czesław Z. stwierdził stanowczo, że tamtego dnia nie spotykał się z Andrzejem B., Jackiem R. i Mirosławem A., a o godzinie 20.00 był już w domu przed telewizorem. Zeznanie to było jednak sprzeczne z tym, co powiedział jego ojciec 3 maja, jak również z wyjaśnieniami trójki nieletnich. Toteż Czesława Z., jako podejrzanego, zatrzymano w areszcie.

Przeciwko niemu, jako jedynej dorosłej osobie spośród czwórki napastników, prowadzono odrębne postępowanie, w którym Andrzej B. i Jacek R. wystąpili jako świadkowie. Tym razem także wyparli się oni swoich wyjaśnień, jakie złożyli podczas dochodzenia, i upierali się, że o niczym nie wiedzą, ponieważ w pobiciu Konstantego G. nie brali udziału. Dowody przeciwko Czesławowi Z. stawały się zatem coraz bardziej problematyczne, a fakt, iż sam dobrowolnie zgłosił się na milicję, świadczył na jego korzyść. Prokuratura nie odstąpiła jednak od oskarżenia i rozpoczęła się rozprawa w Sądzie Rejonowym. Czesław Z. odpowiadał z dwóch artykułów kodeksu karnego: 158 § 3 oraz art. 59 § 1, to znaczy, że oprócz udziału w śmiertelnym pobiciu Konstantego G. oskarżono go także o zamiar pobicia Franciszka M. Prokurator sugerował więc w akcie oskarżenia, że były dwa odrębne zajścia: bicie Konstantego G. i pogoń za uciekającym Franciszkiem M., i że w każdym z tych zajść oskarżony brał udział.

Jest znamienne, że Sąd Rejonowy przyjął inną niż Sąd dla Nieletnich wykładnię wypadków, które doprowadziły do tragicznej śmierci. Uznał bowiem, że nie można Czesława Z. obwiniać o tę śmierć, ponieważ w tym czasie, kiedy Konstanty G. był katowany, Czesław Z. znajdował się w innym miejscu — gonił Franciszka M. Tak więc sąd uznał, że było nie jedno, ale dwa osobne wydarzenia, których uczestnicy działali bez porozumienia. Zmieniało to w zasadniczy sposób prawną kwalifikację czynu oskarżonego.

Ostatecznie sąd uznał go winnym tego, że „działając publicznie i bez powodu, lekceważąc podstawowe zasady porządku prawnego, a nadto działając wspólnie z Mirosławem A., groził pobiciem Franciszkowi M., a przyjmując postawę świadczącą o chęci pobicia, a także goniąc za uciekającym Franciszkiem M., wzbudził w poszkodowanym uzasadnione przypuszczenie, że groźba ta będzie spełniona, tj. o czyn z art. 166 kk w związku z art. 59 § 1 kk, i za to [sąd] skazuje go na karę dwóch lat pozbawienia wolności". Na poczet wyroku zaliczono Czesławowi Z. areszt tymczasowy. A ponieważ jako młodociany korzystał obligatoryjnie z warunkowego zwolnienia po odbyciu połowy kary, pozostało mu do odsiedzenia jeszcze dwa miesiące.

Wyrok ten wywołał komentarze w środowisku prawniczym i zbulwersował opinię publiczną. Słyszałem od kilku adwokatów, że w historii powojennego sądownictwa jest to chyba pierwszy tak surowy wyrok na młodocianego za groźbę pobicia. Sąd zdawał sobie z tego sprawę, toteż w uzasadnieniu stwierdzał, iż tą nadzwyczajną surowością pragnie zadośćuczynić społecznym oczekiwaniom. „Czyn ten bowiem w odczuciu społeczeństwa nie będzie oceniany jako groźba pobicia Franciszka M., ale jako zabójstwo Konstantego G." Sąd nie pomylił się. Komentarz ulicy był jeden: „dwa miesiące za zabicie człowieka" (pobyt w areszcie przed rozprawą nie jest uważany za karę).

Czesław opuścił więzienie, ale jego sprawa ciągnęła się dalej. Tak obrońca, jak i prokurator złożyli od wyroku rewizję, zarzucając sądowi pierwszej instancji błąd w ustaleniach faktycznych oraz rażącą niewspółmierność kary do stopnia zawinienia. Adwokat miał oczywiście na myśli karę zbyt surową i domagał się jej złagodzenia bądź uniewinnienia swego klienta. Oskarżyciel natomiast uznał karę za zbyt łagodną. Domagał się osądzenia Czesława Z. z artykułu 158 § 3 i skazania go na co najmniej 6 lat więzienia.

Sąd Wojewódzki uchylił zaskarżony wyrok i sprawę przekazał Sądowi Rejonowemu do ponownego rozpoznania. Sąd Rejonowy powtórnie skazał Czesława Z. na karę dwóch lat pozbawienia wolności. Chłopiec nie wrócił zatem do więzienia. Ukończył szkołę i pracuje obecnie w fabryce obuwia, gdzie cieszy się doskonałą opinią.

A może Czesław Z. powinien wrócić do więzienia? Może prokurator miał rację, domagając się (w imię sprawiedliwości i interesu społecznego), aby chłopiec poszedł do więzienia na 6 długich lat? Trudna jest odpowiedź na tak postawione pytanie. Zaczekajmy. Jeżeli Czesław Z. nie popełni powtórnie przestępstwa, będzie to znaczyć, że wyrok sądu był słuszny.

Jedno jest pewne: trzy lata po zabójstwie Konstantego G. wszyscy sprawcy tego czynu są na wolności, mieszkają w tych samych domach i chodzą tymi samymi ulicami. Żona Konstantego G. i córka, którą osierocił, widują ich prawie codziennie. A także świadkowie, którzy zeznawali przeciwko nim w sądzie. Można przytoczyć wiele najsłuszniejszych argumentów za tym, że bardziej surowe wyroki nie miałyby najmniejszego sensu społecznego i podagogicznego. Ale — z drugiej strony — nie można się dziwić tym, którzy czują się nieswojo na myśl, że życie człowieka ma u nas tak marną cenę.

Listy do „Kameny"

DUCHY NAŁĘCZOWA

Jeśli ktoś się odważy albo jemu odważą, to jest dozwolone, natomiast gdy ktoś nawarzy komuś, kto jest duchem budzącym mieszane uczucia, musi wypić nawarzone razem z tym, komu je imputował, choćby ten ostatni był niewinny, z tym jednak, że ponieważ jest niewinny — jak to jest w „Zemście" Aleksandra Fredry — ze sporu winna wyniknąć zgoda.

Z wdzięczności za serce p. Prusa p. T. (...) ma o nim jak najgorsze wspomnienia z dzieciństwa, kiedy przy bramie pałacowej oczekiwał na cukierek, a widocznie dostawał pstryczek w nos, gdy natomiast inni do schyłku swoich dni z wielkim sentymentem wspominali spotkania z p. Prusem, bo zostało w nich trochę tego słońca, którym obdarzał ich pisarz, tak jak zostało ono w jego utworach, czego nie chce widzieć zazdrosna „Kamena", bogini nałęczowskiego źródła, zachwycająca nimfa, skoro swą dłonią, lejąc już zamiast wody nowoczesne piwo — gdyż ongiś do tych celów używano sytne młody, co może poświadczyć nawet Jan Kochanowski, niejednokrotnie przejeżdżający przez Nałęczów do trybunalskiego grodu Lublina?! (znaki !? dotyczą przejazdu, a nie miodu) — zasłoniła oczy Autorowi, który zapomniał, pod jej czarem wpatrując się w duchy Nałęczowa, że pan Stefan Żeromski — jeśli to on — zainicjował utworzenie ochronki jako przeciwwagę inicjatywy Tanich Kąpieli im. Bolesława Prusa, dla których wystawiono odpowiedni budynek, co jest dowodem szlachetnego współzawodnictwa, o ile lat młodszego i przejmującego inicjatywę pokolenia fundującego budynek ochronki.

Aliści „Nade wszystko jednak służył tej miejscowości swoim piórem Bolesław Prus, który między 1882 a 1910 rokiem pisał o niej wielokrotnie, a zawsze z wielką życzliwością i sympatią, w swoich kronikach". A także on jest największym winowajcą, że główną nagrodę przyznano Autorowi „Duchów Nałęczowa", który okazał się wielkim niewdzięcznikiem, starając się spospolitować, ba, ująć Prusowi czci jako nałogowemu piwoszowi tak samo, jak działa wroga propaganda, jak niszczą osądy i niechęci wywodzące się z własnej małości. Ona też nie dała, aby dzieci w Nałęczowie mogły czcić pamięć Prusa. Mamy przecież obok siebie dwie szkoły, podstawową i licealną, mające tego samego patrona, bo wygodnie jest czyjś dorobek zapisać na swoje konto, zabrać jednemu, a dać drugiemu, pozostawiając tego pierwszego osieroconego i pozbawionego nawet popiersia swego Patrona. Jak było, że do tego doszło? Czyżby ślusarz z warszawskiej fabryki gorszy był od guwernantki Narcyzy Żmichowskiej, jak się obecnie czyta w gazetach, czy też guwernera Stefana Żeromskiego? O tempora, ale i mores! No bo i kto to może wiedzieć, że w „Małej Encyklopedii Powszechnej" PWN Gabryella jest poetką i powieściopisarką z grupy Entuzjastek, Aleksander Głowacki największym obok H. Sienkiewicza powieściopisarzem i nowelistą polskim II poł. XIX w., zaś Maurycy Zych czy Józef Kateria najwybitniejszym pisarzem I poł. XX w.

Aliści w ostatnim „Przekroju" na ostatniej stronie czytam: „Konarski był to pijar, który stworzył szkołę dla piwowarów". Jeśli później Kameny z nimf stały się patronkami wiedzy i sztuki, to czy: „Prus i piwo, rower i Prus" jest wiedzą, czy przewrotną sztuką, w której wyraża się „celebrowanie postaci autora »Faraona«"? A może Autor jest ze szkoły Konarskiego?...

Wreszcie camena (czytaj: kamena) oznacza po łacinie pieśń, a dawniej w przenośni oznaczano tym słowem poezję. Życzę więc „Kamenie", by nie szargając przeszłości, popatrzyła na nią wyrozumiale i zwracając się do niej, szukała w niej odpowiedzi na aktualne zagadnienia, jak to czynił Stefan Żeromski.

Jerzy Bargier

Poczta literacka

STANISŁAW T. Katowice. Spośród wierszy, jakie Pan nadesłał, najbardziej podoba mi się „Krótki wiersz o wolności", on też zostaje w mojej teczce, aby czekać na druk. Pozostałe to poezja taka sobie i im szybciej przekona się Pan, że trzeba jeszcze dużo pracować, tym wcześniej osiągnie Pan większą wprawę. Uprawianie literatury wymaga bowiem nie tylko tzw. znajomości rzeczywistości i daru obserwacji, ale i umiejętności warsztatowych. A te można posiąść jedynie po długiej praktyce. Początkujący literaci zazwyczaj zapominają o tym albo nie chcą tego faktu przyjmować do wiadomości. Jeżeli mi więc Pan nie wierzy, proszę przeczytać autobiografię wybitnego autora powieści kryminalnych, Raymonda Chandlera. Otóż będąc już sławnym i uznanym pisarzem, poprawiał on swoje powieści po kilka razy i nie wstydził się do tego przyznać. Francuski pisarz Clavel stwierdził niedawno w wywiadzie dla „Le Figaro", że spośród napisanych 20 stron zostawia do druku zaledwie jedną. Właśnie dzięki takiej pracy powstają bestsellery. Proszę o tym pamiętać. Jeden mały wiersz też można (a czasem i trzeba) pisać całymi tygodniami, szukając odpowiednich słów i obrazów. Proszę odezwać się za pół roku.

JOANNA K. Radom. Jeżeli prawda, że 11-stronicowe opowiadanie „Fanfary i puzony" jest zaledwie fragmentem powieści, to muszę przyznać, że znajduje się Pani na najlepszej drodze. Wybrała Pani trudną sztukę groteski, zanikającą ostatnio pod ciśnieniem smutnej rzeczywistości. Posiada Pani widocznie tę nieczułość na los bliźnich i najbliższych, która jest niezbędna, aby być naprawdę pisarzem (artystą). O tej nieczułości pisał i Genet, i Amerykanin Moore, dwaj wspaniali pisarze, od których wiele można się nauczyć. (Taki był chyba również wielki Picasso). Niech się dzieje, co chce, niech się świat wali, a ja beznamiętnie obserwuję i zastanawiam się, jak to opisać. Taką właśnie jedyną pasją jest Pani owładnięta i pasja ta, o czym zaświadcza nadesłane opowiadanie, daje wcale niezłe wyniki. Proszę przysłać całość, wybierzemy fragment do druku. Wolałbym bowiem coś innego niż „Fanfary i puzony", które przypominają nieco atmosferą „Biesiadę u hrabiny Kotłubaj". Może w innych fragmentach rzuci mnie Pani na kolana własnym, oryginalnym stylem? A zatem — czekam.

STANISŁAW J. K. Jakubowice Dworskie. Pańską propozycję druku u nas książki o Zbigniewie Herbercie, nad którą Pan, jak twierdzi, obecnie pracuje, oczywiście przyjmuję bez zająknięcia. To znaczy — abyśmy się dobrze zrozumieli — wyrażam chęć zapoznania się z Pańskim manuskryptem, i tylko tyle. Nie mogę przecież obiecywać druku, nie wiedząc, co Pańskie pisanie jest warte. Proszę przysłać większy fragment. A może pofatygowałby się Pan do naszej redakcji osobiście z całym maszynopisem?

ANDRZEJ P. Lublin. Zgadzam się z Panem, że polska literatura nie dorobiła się dobrej tradycji liryki miłosnej, ponieważ od wielu wieków zajęta była załatwianiem wolności, niepodległości, pracy od podstaw i innych pożytecznych rzeczy, ważniejszych od miłości. Ten brak względu dla uczuć nie jest jednak — jak Pan pisze — „chorobą". Polska literatura posiadła swój własny styl, odróżniający ją od pozostałych literatur światowych, a to jak najlepiej świadczy o narodzie, który taką literaturę wydał. Nie przesadzajmy zatem z narzekaniem na naszą zaściankowość. To prawda, zaściankowi jesteśmy, ale akurat literaturę mamy na najwyższym poziomie. Niech Pan poczyta Gombrowicza, Miłosza, Stempowskiego, Herlinga-Grudzińskiego, a z krytyków — Aleksandra Konstantego Jeleńskiego. Pozbędzie się Pan wtedy kompleksów. Tyle na tematy ogólne. Jeżeli chodzi natomiast o konkrety, to trzeba brutalnie powiedzieć, że Pańskie wiersze nie dźwigają tej naszej „zaściankowej poezji" na światowy Parnas. Przeciwnie — raczej ściągają ją do podziemi Hadesu. To miałbym do powiedzenia, używając stylu, którym Pan się posługuje. Jeżeli chce Pan naprawdę pisać wiersze, trzeba zacząć od elementarza, czyli podpatrywania, jak robią to inni (polecam szczególnie Różewicza, Tuwima, Kochanowskiego i Sępa-Szarzyńskiego). Proszę odezwać się za rok.

ANDRZEJ D. Poznań. Trudny Pan gatunek sobie obrał. Rozśmieszyć ludzi nigdy nie było łatwo, a tym bardziej dzisiaj, gdy tak niewiele mamy możliwości, aby cieszyć się z życia. W Pańskich humoreskach coś jest, a jest to bardziej zaduma nad nonsensami naszej rzeczywistości niż humor wywołujący salwy śmiechu. Zatrzymuję Pana teksty do ewentualnego wykorzystania. Kiedy jednak ujrzy je Pan na łamach „Kameny", doprawdy nie wiem i trudno mi podać, nawet w przybliżeniu, jakiś konkretny termin. Proszę zatem o cierpliwość i odrobinę nadziei.

JANINA B. Kielce, STANISŁAW B. Kraków i STANISŁAW Robert Sz. Na druk jeszcze za wcześnie. Proszę nauczyć się oszczędności słowa — powściągnięcie żywiołu wyobraźni i języka to pierwsza umiejętność, której powinien nauczyć się poeta. Proszę nadesłać coś za rok.

AP

Krzyżówka nr 15 z szyfrem

Poziomo: A. napisał „Ptaki" ■ kolor czegoś. C. szlagier ■ cienkie kluski ■ najwyższy balkon w teatrze. E. ojciec Ikara ■ wielkie jezioro w Afryce ■ gimnastyczne pochylenie ciała ■ urzędowy list. F. produkt pszczeli ■ szlachetny metal ■ miejsce przemiany wody w wino, G. kropeczki na nosie ■ w centrali telefonicznej. H. tatarski monarcha ■ konsolacja ■ zwierzę ciepłokrwiste jajorodne. I. wyspa w rebusach znaczona A ■ urządzenie radiolokacyjne ■ wulgarna zabawa ■ jedna ze stron medalu. K. uniwersalny ssak północy ■ zamek obronny ■ dobrze ubrany. M. rzeczy do przybrania i zapięcia strojów ■ obowiązkowe świadczenie chłopa na rzecz pana.

Pionowo: 1. węgierski Piast ■ jest nim też sufit. 2. poezja opisowa. 4. ryba jeziorowa ■ żołądkowy narkotyk. 5. Elza z buszu. 7. konkuruje z porcelaną ■ góra w herbie Armenii. 8. cerkiewny obraz. 9. boginka pól i lasów ■ stolica Senegalu. 10. droga bita. 11. nawałnica morska ■ kłopot, ambaras. 13. wąsy i broda ■ kierunek naprzód. 14. brzęczy i bąbli. 15. pusty frazes ■ południe. 16. kuzynka żyrafy znad Konga. 17. wrześniowa solenizantka ■ na stole lub latający. 19. policyjna broń. 20. polska piosenkarka ■ jezioro z klasztorem Kamedułów. 22. polski taniec. 23. muza pieśni miłosnej ■ złodziejska spółka.

SZYFR

C13. M20. F10. A3. C11. F14 / G2 / K11. G22. A1. E5. A20. M15. G21. B11. I8 / G8. E1. F5. J9. I15. C23 / M17 / C7. G23. I9. K22. I21. D4 / K1. J11. E3. A13. G20 / I1. E20. L13 / M4. C18. F13. H19. J23/

Rozwiązania słów pomocniczych i szyfru należy nadsyłać pod adresem redakcji (akr. poczt. 231 20-950 Lublin) w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy za 1000 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 13 Z SZYFREM

Poziomo: Czechow, skalpel, klawisz, przywara, rewident, rura, wiano, ołów, liszka, porcja, pies, torba, YMCA, wina, Nida, gryf, dyżur, ocet, amfora, amator, ręka, nosek, skok, antracyt, amnestia, wolność, analiza, świadek.

Pionowo: czerep, Gorzów, przesyłka, cera, Anin, osy, idiom, ryś, kasztanowce, krawat, Danton, loża, ryż, Seul, Europa, rakarz, kwarantanna, ląd, jądro, suw, wino, siła, tłumaczka, zbawca, taktyk.

Szyfr

Nie ulega wątpliwości, że ludy postawiły na swoim czele królów, żeby bronili ich wolności, a nie po to, żeby ją niweczyli.

J. J. ROUSSEAU
cyt. przez Liona Feuchtwangera w **„MĄDROŚCI GŁUPCA".**

Nagrodę wylosował Grzegorz Laskowski, ul. Młodzieżowa 9 m. 9, 20-468 Lublin.

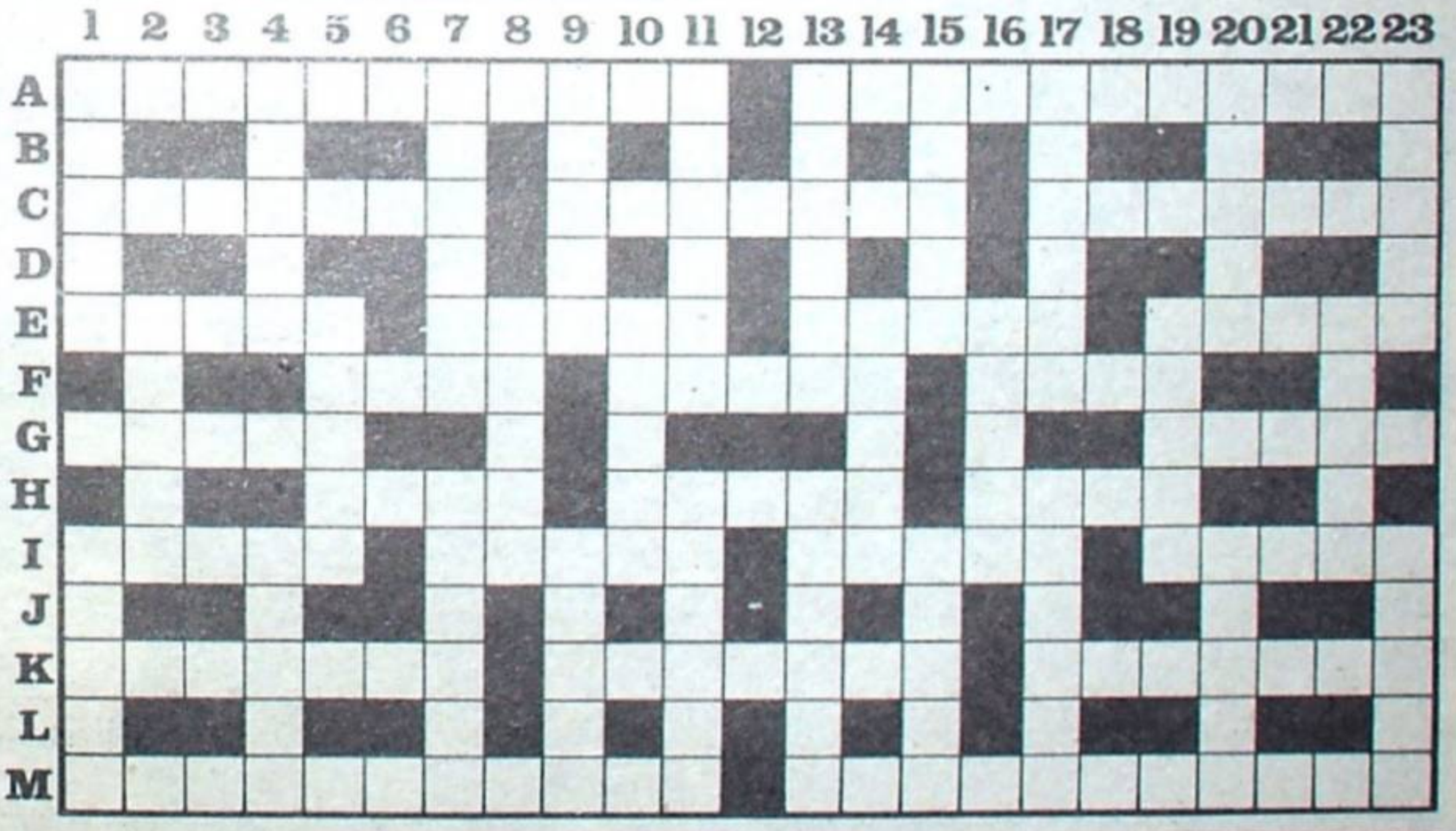

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Ireneusz J. Kamiński, Andrzej W. Pawluczuk (sprawy literackie; interesantów przyjmuje we wtorki w godz. 13—16). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 9, tel. 255-30.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950, Lublin, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1374, 7.07.89, Z-4.

Fot. Przemysław Ostrzyżek

LATO BEZ PAPIEROSA?!